

## Teatr Lublina będzie ogromny...

Stanisław Bienkuński: „Gdy po wygraniu konkursu musiałem przerwać dalszą pracę z powodu braku środków na realizację, byłem bardzo zawiedziony. Teraz jestem szczęśliwy, że mogłem wrócić do dawnego projektu, który w zasadzie dobrze wytrzymał próbę czasu”.

## Pustynie i puszcze turystyki

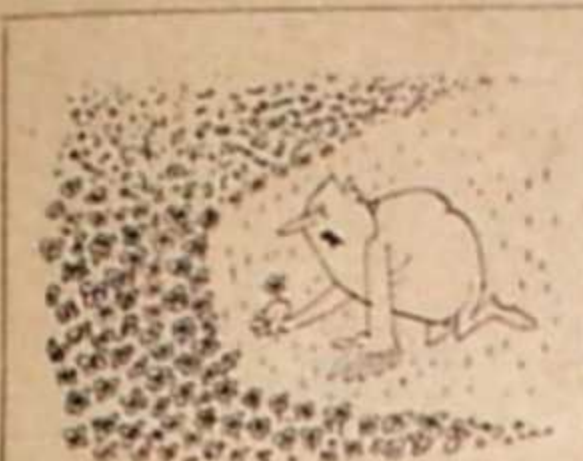
Jerzy Dostatni: „Urzednicy oplacani oficjalnie z kiesy państwowej nie mogli się dobiornie wpisywać na listę ludzi podejrzanych — i turystyką się nie zajmowali, albo tylko na tyle, aby postawić kilka fajek na jakimś sprawozdanku”.

## Zamojski ping-pong

Ireneusz J. Kamiński: „Zamość ma fokę i zabytki, fokę ma staw w parku, więc się cieszy, zabytki mają ducha, który straszy raczej bezskutecznie, więc renesans dziedzicze (...) Jeśli zaś fokę zdechła? Próżne nadzieje, malarze w Zamościu jeszcze nie poszli jej śladem”.

## Tylko dwie sekundy

Romułd Wiśniewski: „Nielubin na wiadomość, że Moravec sprzeda swoje trofeum, nie zdziwił się wcale. — Mnie też nie szło o „Fiata”. Nie dla maszyn gnębią mnie te 2 sekundy. Chciałem wygrać. To wszystko. A samochód już raz wygrałem. W Jugosławii. I na drugi dzień po przyjeździe do Leningradu rozwalilem go na ślupie”.



— Kocha, lubi, szanuje...  
Rys. L. Szalecki

# Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 18 VI 1972 Nr 13 (498)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ



Fot. CAP

## MORSKIE ZWIĄZKI LUBLINA

Józef Wójcicki

Wielki sejm lubelski z roku 1569 znany jest szeroko z ogłoszenia pełnej unii polsko-litewskiej, ale mało kto wie o drugiej sprawie, która była omawiana na tym sejmie — rozwoju polskiej floty wojennej, rozszerzeniu uprawnień Komisji Morskiej i wykorzystaniu portu gdańskiego jako głównej bazy polskich okrętów.

**P**IERWSZYMI okrętami wojennymi działającymi pod rozkazami polskiego króla, Kazimierza Jagiellończyka, były okręty gdańskie w latach wojny trzydziestoletniej. Zysmunt Stary w latach 1517—1521 powołał w Gdańsku straż morską.

Dążąc do wzmocnienia pozycji Polski nad Bałtykiem, król Zygmunt August około roku 1536 polecił czynić przygotowania do wystawienia polskiej floty wojennej.

Działając pod opieką starosty puckiego Jana Kostki i dowództwem Mateusza Sierpina, flota królewska już w r. 1560 liczyła około 10 okrętów. Od r. 1565 obok Kostki działali morskimi komisarzami królewscy — Krzysztof Konarski, szlachcic pomorski i Jerzy Kleefeld, burmistrz gdański. Kiedy flota królewska rozrosła się i zaczęła działać na wodach całego Bałtyku, Zygmunt August 24 marca 1568 r. powołał Komisję Morską z kasztelanem gdańskim Janem Kostką na czele. Była to pierwsza admiralicia w Europie z szerokimi uprawnieniami w sprawach żeglugi, portów i handlu morskiego — pierwowzór

Dokończenie na str. 6—7

# O jakość ekonomistów

Romułd Poliński

**W** ŚRODOWISKACH akademickich, w organach i na łamach prasy fachowej toczy się dyskusja nad przyszłym kształtem wyższych studiów ekonomicznych, ich organizacją, doskonaleniem treści programowych nauczania, rolą podstaw teoretycznych i wiedzy metodologicznej oraz zakresie specjalizacji, a także statusem ekonomisty i potrzebami gospodarki narodowej na wysoko kwalifikowane kadry. Celem tej konfrontacji poglądów jest sformułowanie wniosków, które stałyby się podstawą konstruktywnych rozwiązań systemowych, zmierzających do ukształtowania optymalnego modelu kształcenia ekonomistów na miarę nie tyle aktualnych, co raczej perspektywicznych potrzeb rozwojowych socjalistycznego społeczeństwa.

Jeśli o temple wzrostu gospodarczego ma decydować jakość czynnika ludzkiego — szczególnie kadry kierowniczej — to kontynuowanie ekstensywnej polityki rozwoju wyższego szkolnictwa ekonomicznego byłoby nieodwracalne w skutkach. Niezbędna jest już obecnie szybka i zdecydowana reorientacja, wyrażająca się w koncentracji sił i środków na najistotniejszej kwestii — jakości kształconych absolwentów.

„Na obecnym etapie rozwoju społeczno-gospodarczego — głosi Uchwała VI Zjazdu Partii — wysuwa się na czoło zadań szkolnictwa wyższego podnoszenie jakości kształcenia i wychowania młodej inteligencji oraz zwiększenie udziału uczelni w badaniach naukowych służącym potrzebom gospodarki i kultury narodowej”. Problem zadań

Dokończenie na str. 4—5

## Pożegnać teatr „lapsurdu”

Maria Bechcyc-Rudnicka

**K**IEDY Klub Krytyki Teatralnej organizuje tzw. sesję wyjazdową swych członków w jakimś większym mieście Polski, istotnym ich zadaniem jest obejrzenie kilku wyborowych przedstawień w teatrze bądź w teatrach danego miasta. *Sessio* w ścisłym słowa sensie — obradowanie przy wspólnym stole z dyrekcją i władzami kulturalnymi, bywa oczywiście elementem nieodzownym i budującym, lecz — bądźmy szczerzy — nieco mniej atrakcyjnym. Tym naturalnie, zdawałoby się, można oczekiwać takiej właśnie „repartycji” zainteresowań po festiwalach. Toteż niemałym zaskoczeniem (przynajmniej dla mnie) był fakt, że na XIII Wrocławskim Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych sprawy miały się zgoda inaczej: narada dramaturgów, ludzi teatru i krytyków nad stanem współczesnej polskiej

dramaturgii okazała się o wiele bardziej pasjonująca niż sam festiwalowy zestaw spektakli.

Z wyjątkiem wprawdzie jednego: przywiezionego przez zespół warszawskiego Teatru Dramatycznego spektaklu Różewiczowego „Na czworakach”, który wydał mi się zresztą najwymowniejszym, najbliżskolliwsiym... głosem w dyskusji.

Przedmiotem obrad były nienowe, ale coraz drażliwsze kwestie związane z realizacją polskich sztuk współczesnych na naszych scenach. Już samo zorganizowanie konferencji na temat stanu polskiej dramaturgii współczesnej poddawało niejako pod rozwagę kursującą od paru lat w prasie i pokątnie tezę o jej rzekomej niewydolności. Sądzę, iż w naradzie wrocławskiej należało szczególnie cenić dobrą okazję do rozprawienia się z tym fałszywym poglądem, lansowanym przez inscenizatorów własnych scenariuszy. Wierutną bowiem niedorzecznością jest pomawianie o słabość dramaturgii, na którą składają się dzieła Różewicza, Brylla, Drozdowskiego, Iredyńskiego, Karpowicza, Herberta, Abramowa, Krasieńskiego, do niedawna Broszkiewicza, wreszcie i Gombrowicza. Nie potrzeba specjalistycznych studiów komparatywnych, by dowiedzieć, że stan posiadania powojennej dramaturgii polskiej przewyższa aktywa dwudziestolecia międzywojennego, zwłaszcza przy uwzględnieniu twórczości dopiero teraz „odkrytego” Witkacego, rewelacji w skali światowej.

*Periculum in mora* wynika nie ze skąpych jakoby zasobów polskiej dramaturgii współczesnej, lecz przede wszystkim z niedostatecznego jej wykorzystywania przez reżyserów preferujących własne adaptacje i scenariusze, co z kolei powoduje zniechęcenie dramaturgów, a w konsekwencji zahamowanie „przyrostu” dramaturgii z prawdziwego zdarzenia.

Z satysfakcją więc wysłuchałam na konferencji pełnej godności wypowiedzi Tymoteusza Karpowicza, który nawoływał do uwolnienia się od przekonania, że literatura dramatyczna nie może rozwijać się bez teatru.

Chodzi też o to, by krytyka odróżniała wyraźnie tekst pisarza od realizacji teatralnej. W ogóle nie tylko Karpowicza, ale wszystkich dramaturgów nurtuje troska o los ich tekstów. Optymizm tedy wniósł do obrad wiadomość podana przez przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, że pewne kroki zmierzające w tym kierunku zostały już poczynione.

Dokończenie na str. 8



# Pożyteczne wizyty

NIE bez znaczenia jest fakt, w jakiej atmosferze przystępuje się i prowadzi rozmowy, zwłaszcza jeżeli rozmowy te prowadzą dwa najpotężniejsze państwa i to na tematy, które w ten czy inny sposób dotyczą całego świata, całego kompleksu stosunków międzynarodowych. Rozmowy moskiewskie prezydenta Nixona z przywódcami radzieckimi toczyły się w atmosferze wzajemnego szacunku i rozumienia, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na obu stronach.

W ostatecznym jednak rachunku nie o atmosferę chodzi, nie o tzw. ducha rozmów, o czym głośno było swego czasu po spotkaniu w Camp David czy Glassboro. W polityce międzynarodowej bowiem jak rzadko gdzie liczą się przede wszystkim realia. A te od czasu słynnego przemówienia Winstona Churchilla w Fulton w marcu 1946 roku, przemówienia, które określa się jako początek tzw. zimnej wojny, oraz zorganizowania bloków wojskowych, owe realia były takie, że zimna wojna w każdej chwili mogła przekształcić się w gorącą. Sytuacja była niebezpieczna jeszcze i wskutek tego, że Stany Zjednoczone były wtedy światowym monopolistą w posiadaniu broni nuklearnej, a ówczesny prezydent USA Truman był jedynym jak dotychczas — i oby takim pozostał na zawsze — człowiekiem, który już raz wydał rozkaz użycia tej straszliwej broni. Dodatkowym argumentem przy groźbie użycia siły był fakt, że rozbudowany w czasie wojny potencjał gospodarczy USA pozostawał nienaruszony, podczas gdy znaczna część przemysłu radzieckiego wraz z innymi dobrami materialnymi i kulturalnymi została zniszczona.

W Waszyngtonie i w innych miastach USA nigdy nie brakowało ludzi nieodpowiedzialnych, którzy systematycznie zmierzali do wywołania konfliktu, mogącego przerodzić się w nową wojnę światową. Jednak pamięć o niedawnej klęsce, jakiej właśnie na froncie wschodnim doznała hitlerowska machina wojenna, a także w błyskawicznym tempie rosnąca siła gospodarcza Związku Radzieckiego i jego wzrastający prestiż w całym świecie sprawiły, że jednak żaden z kolejnych przywódców amerykańskich nie powążył się wydać ostatecznej decyzji.

Kraje socjalistyczne niejednokrotnie występowały z inicjatywą równoczesnego rozwiązania bloków wojskowych obu stron, nawiązania wzajemnych stosunków gospodarczych, kulturalnych, naukowych i innych na zasadzie równości i wzajemnych korzyści. To właśnie Związek Radziecki wysunął koncepcję pokojowej koegzystencji, która, nie wymagając od żadnej ze stron ustępstw ideologicznych, zmierzała do wyeliminowania ze stosunków międzynarodowych nie tylko samej wojny, ale także jej groźby w jakiegokolwiek formie.

Te i podobne inicjatywy obozu socjalistycznego przez szereg lat, niezależnie od mniej lub bardziej gładkich odpowiedzi, w praktyce nie spotykały się z pozytywnym przyjęciem po drugiej stronie Atlantyku. To doprowadziło do wyścigu zbrojeń, coraz bardziej kosztownego, produkującego coraz bardziej potworne bronie masowej zagłady. Nikt nie wie dzisiaj dokładnie, jakim arsenałem broni nuklearnej dysponuje świat, chociaż ekaperci dosyć zgodnie twierdzą, że wystarczyłyby one do całkowitego zniszczenia kilkaset razy większej planety niż nasza planeta Ziemia. Co roku kilkadziesiąt miliardów dolarów, funtów szterlingów, franków i rubli pracą milionów ludzi zamienia się w broń masowej zagłady. Jaki byłby koniec tego szaleństwa, troskliwe wyhodowanego na kontynencie, który tak chętnie nazywa się Nowym Światem?

Po pierwszych rozmowach w Moskwie każdego dnia podpisywano jedno z wzajemnych porozumień. Byłoby oczywistą nieprawdą przypuszczenie, że te porozumienia były wynegocjowane w ciągu tych kilku dni, nie byłoby też rzeczą możliwą, aby tak pospiesznie sporządzone akty wytrzymały próbę życia. Rokowania w uzgodnionych terminach trwały już od dawna bądź drogą dyplomatyczną bądź poprzez grupy ekspertów — np. rozmowy na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych SALT rozpoczęły się w Helsinkach jeszcze w październiku 1969 roku. W Moskwie rzecz polegała na rozstrzygnięciu przez przywódców obu państw ostatnich spornych problemów, formalnym podpisaniu odpowiednich dokumentów jak również osobistej rozmowie na problemy światowe i bilateralne, co doprowadziło do uzgodnienia bądź poważnego zbliżenia poglądów w wielu sprawach. A także określenia odmiennych poglądów np. w sprawie Wietnamu.

Teraz, jak zwykle w podobnych sprawach, wszystko zależy od realizacji zawartych porozumień. My wiemy, że zarówno Związek Radziecki jak i Polska będą je wypełniały lojalnie, a nawet starały się o ich dalsze rozszerzenie i pogłębienie. Wierzymy, że do tego samego będzie dążył prezydent Nixon. W USA wydano już polecenie wstrzymania budowy pewnych instalacji wojskowych. Obradująca w Bonn w dniach 30 i 31 maja Rada Ministerialna NATO „z zadowoleniem powitała” układy moskiewskie jak również układy pomiędzy NRF a ZSRR i Polską oraz w sprawie Berlina i w konsekwencji wyraziła zgodę na zwołanie konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie, od dawna proponowanej przez Związek Radziecki i nasz kraj, a mającej stanowić nowy i po-

ważny krok w ostatecznym uregulowaniu stosunków na kontynencie europejskim.

Natychmiast po powrocie do Waszyngtonu prezydent Nixon wygłosił przemówienie do obu Izb Kongresu. Zdając sprawozdanie ze swojej podróży, powiedział m. in.: Władzie ronną nocą nadziei na pozostanie świata nie przysłoniętego już cieniem strachu, niedostatku i wojny. (...) Położone zostały podstopy pod nowe stosunki między dwoma najpotężniejszymi krajami świata. Obecnie do nas należy — do nas wszystkich, tutaj i w tej Izbie i w całej Ameryce — pozostanie wysiłków wraz z innymi narodami we wznieśieniu na tych podstawach nowej budowli, która byłaby skarbnicą nadziei dla całej ludzkości.

Nie trzeba chyba podkreślać, że porozumienie w sprawie wspólnych badań i wykorzystania lotów kosmicznych do celów pokojowych ma również olbrzymie znaczenie. Negocjacje na ten temat trwały od przeszło półtora roku i dziś już wiadomo, że w roku 1971 nastąpi próba połączenia w locie pojazdów „Sojuz” i „Apollo”, że w czasie tego lotu nastąpi wymiana załóg. Już teraz pracuje się nad ujednoliceniem elementów połączeniowych obu pojazdów, a sama operacja będzie wyrazem pełnego zaufania do wzajemnych osiągnięć w konstrukcji, technice i technologii budowy „Sojuz” i „Apollo”. Kosmonauci radzieccy i amerykańscy już uczą się języków swoich przyszłych współkolegów.

Zawarte w Moskwie porozumienia i ich konsekwencje mają szczególne znaczenie także dla Polski, która wyjątkowo dotkliwie odczuła skutki obu wojen światowych. Cieszymy się także i dlatego, że Polska Ludowa od samego początku stanowiąła trwale i aktywne ogniwo obozu socjalistycznego, którego konsekwentna polityka jak również wzrastająca siła ekonomiczna doprowadziły do takiego właśnie rozstrzygnięcia podstawowych problemów Europy i świata.

Stany Zjednoczone i Polska, podobnie jak Związek Radziecki i USA, nigdy nie były ze sobą w stanie wojny. Odrotnie — to wielu Polaków brało czynny udział w walce o niepodległość USA, a następnie wiele milionów naszych rodaków, zmuszonych warunkami politycznymi lub ekonomicznymi, współdziałało w rozwoju Stanów Zjednoczonych, do dziś odczuwając głęboki sentyment do swojej lub swoich przodków ojczyzny. Pamiętamy również, że w czasie konferencji pokojowej w Wersalu po pierwszej wojnie światowej prezydent USA Wilson postulował także — obok decydującego w tej mierze stanowiska Wielkiej Rewolucji Październikowej — utworzenie niepodległego państwa polskiego z bezpośrednim dostępem do morza, pamiętamy także pomoc żywnościową, udzieloną nam po obu wojnach.

Podpisanie w Warszawie umowy konsularnej stanowi, mamy nadzieję, pierwszy pomiędzy obu państwami krok w tym nowym okresie stosunków Wschód-Zachód, spodziewamy się, że po nim nastąpią dalsze, wynikające zarówno z generalnych jak i szczególnych rozwiązań problemów światowych oraz dwustronnych. Liczymy, jak to powiedział premier Jaroszewicz w pierwszym dniu wizyty prezydenta Nixona w Warszawie, na rozszerzenie polsko-amerykańskiej współpracy ekonomicznej i naukowo-technicznej. Współpraca ta, dodajmy, w obecnym stadium nie odpowiada możliwościom obu stron, a umieszczenie jej na właściwym poziomie będzie oznaczało dalszy konkretny wkład w dzieło pokoju światowego. A właśnie o ten pokój Polska wraz z całym obozem socjalistycznym od lat aktywnie zabiega, czego przykładem chociażby ratyfikowany właśnie układ z NRF. Albo konsekwentne nasze działania na rzecz zwołania europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy.

Warto jeszcze kilka słów poświęcić reakcji prasy, radia i telewizji amerykańskiej po podróżach Nixona. W olbrzymiej większości zarówno podpisane w Moskwie i Warszawie porozumienia jak i wygłoszone przy tych okazjach przemówienia zyskały pełne poparcie. W jednej z dyskusji telewizyjnych wszyscy mówcy podkreślali, że po raz pierwszy Nixon z dużym naciskiem mówił o konieczności utrwalenia zasad pokojowego współistnienia, że na pierwsze miejsce wysunął hasło pokoju światowego, którego utrzymanie zależy w pierwszym rzędzie właśnie od wielkich mocarstw.

W studio telewizyjnym CBS dyskutanci przypuszczali jednak, że zarówno Pentagon jak i siły, za którymi stoją wielkie koncerny zbrojeniowe, nie przyjmą z zadowoleniem perspektywy dalszych kroków na rzecz rozbrojenia i tak zapewne będzie. Rzeczą prezydenta i tych jego współpracowników, którzy w pełni popierają politykę międzynarodowej koegzystencji, opartej na wspólnych korzyściach i obustronnym poszanowaniu — będzie przełamanie tych oporów i pełne zrealizowanie nie tylko już zaciągniętych zobowiązań, ale także nadziei, jakie rysują się dla wszystkich w bliżej i dalszej przyszłości.

Wreszcie — amerykańskie środki informacji dosyć generalnie zmieniły już swoje nastawienie do spraw polskich. Korespondencje z Warszawy nacechowane są do dużego obiektywizmu, nie widać już takiej pogoni za sensacją jak dawniej, przeważa natomiast rzeczowa informacja i żywe poparcie dla naszych wysiłków, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, ale także i politycznej oraz społecznej.

(jd)



Fot. L. Demidowski

## KULTURA 1972

### Zmarli

● 48-letni Michał Choromański, wybitny prozaik i dramaturg, który zdobył sobie trwałe miejsce w polskiej literaturze. Debiutował w 1921 roku powieścią „Biali bracia”, ale największą sławę przyniosła mu „Zadłotnica i medycyna” (1933 r.), która wiedeńską Akademię Literatury. W ostatnich latach od roku wydawał powieść, jak np. „W rękaw wstąpić”, a planował napisanie jeszcze dziesięciu.

### Literatura

● Każdego dnia ukazuje się pierwszy numer nowego miesięcznika pt. „Nowy wyraz”, który będzie poświęcony twórczości młodych. Wydają „Iskry”, redaktorem naczelnym jest Jan Witani. ● Przed 200 laty ukazał się w Rosji pierwszy słownik biograficzny pisarzy rosyjskich pt. „Opis historyczno-słowny autorów rosyjskich pisatelem”. Autor, Nikołaj Nowikow, na rozkaz Katarzyny II spędził 4 lata w twierdzy szlisselburskiej jako oskarżony o działalność masonską. ● Przed 85 laty, w maju 1921 roku, przybył do Warszawy Włodzimierz Makajowski, zaproszony przez Mieczysława Szaruckiego, jednego z twórców naszej nowoczesnej plastyki. Witali go Broniewski, Tuwim, Wandurski, Sierni. ● W Afryce na 4 sprzedane książki aż 3 pochodzą z importu. Kraje tego kontynentu na import książek wydają rocznie około 70 mln dolarów, co jednak nie zaspokaja nawet połowy potrzeb.

### Teatr

● Bolesław Mierzejewski, nestor scen polskich, obchodził w Katowicach pięćdziesiąty jubileusz: 50-lecie urodzin, 40-lecie pracy scenicznej i 25-lecie występów na scenie Teatru Śląskiego w Katowicach. Ma także pozą sobą 20 ról filmowych. ● W Teatrze Nowym w Łodzi odbyła się premiera „Karabinów” Stanisława Grochowiaka w adaptacji i reżyserii Andrzeja Maya. ● Teatr „Wybrzeże” w Gdańsku dał polską premierę sztuki Fernanda Arrabal „Cmentarzysko samochodów” w reżyserii S. Hebanowskiego.

### Sztuka

● Do połowy sierpnia trwa w Krakowie IV Międzynarodowe Biennale Grafiki. Laureatami Grand Prix zostali: Per Kleiva z Norwegii i Kim On-dae z Korei. ● W Bydgoszczy w zabytkowych pomieszczeniach nad Brdą Muzeum im. L. Wyczynkowskiego urządzono stałą ekspozycję unikalnych eksponatów sztuki rzeźbiarskiej od początków XIX w. do XX w. ● Muzeum Willelma Lehmbrucka w Duisburgu ekspozycją prac Kawęcego Dunikowskiego.

### Muzyka

● X Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu rozpocznie się 21 czerwca koncertem „Witamy w Opolu”, następnego dnia koncert „Komu piosenka”. 17-22

Kamena str. 2

tego — „Debiuty opolskie” i o północy „Piosenka nad Odrą”, 24 czerwca — „Mikrofon i ekran”. Ponadto 18 imprez towarzyszących.

● Opera Stanisława Moniuszki „Karmaliol” rozpoczęła swoje istnienie najmłodszą sceną muzyczną stolicy — Warszawską Operą Kameralną, która obejmuje swym zasięgiem cały kraj. Jej założycielem, dyrektorem i kierownikiem artystycznym jest Stefan Sutkowski. Następną premierą była „La serva Padrona”.

● W Warszawie odbyło się czternastodniowe międzynarodowe seminarium na temat wychowania muzycznego przez radio i telewizję. Uczestniczyli przedstawiciele 24 krajów oraz 1 organizacji międzynarodowych.

### Film

● Tadeusz Makarczyński oraz Bohdan Tomaszewski pracują nad przeznaczonym dla telewizji filmem dokumentalnym o dziejach gryzysk olimpijskich ery nowożytnej. Tytuł „Maraton”. ● Krzysztof Zanussi przygotowuje film o — nauce. Będzie tam rozważane sprawy fizyki, biologii, neurochirurgii, psychiatrii i konfliktu materii i ducha, epowieść o rezerkach, które przeszły w człowiek z natury, a także z tym, co przetrwał współczesna nauka.

● W przyszłym roku przypada 20 rocznica powstania Ludowego Wojska Polskiego i bitwy pod Lenino. Wytwórni filmowa „Czołwiska” przygotowuje z tej okazji film dokumentalny o bitwie.

● Wkrótce rozpoczyna się zjędzia do filmu „Sanatorium pod klepsydrą”, oparte go na prozie Bronisława Szulca. Reżyser Wojciech Has nakręca go w kolorze na taśmie 7 mm.

● Od 24 czerwca do 2 lipca odbędzie się po raz czwarty w Łagowie spotkanie polskich twórców filmowych. W ramach Lubuskiego Lata Filmowego przeprowadzimy spotkanie plenery publicznego na najpopularniejszych aktorów, a pokazany zostanie 11 polskich filmów, skierowanych do rozpowszechnienia w ostatnim roku.

● XVIII Międzynarodowy Festiwal w Karłowych Wrazach, odbywający się na zmianę z festiwalem moskiewskim, rozpocznie się 28 lipca.

### Lubliniana

● W Dolinie Oświęty, Kościółki i Prasy wieś Ażeniokary lubelskich otrzymała odznaczenia państwowe: Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski — Jerzy Dostali („Kamena”) i Ryszard Wosk („Nasze Sprawy”), Złoty Krzyż Zasługi — Halina Chabros, Al. Leszek Gzella, Stefan Piotrowski i Anna Treger (również „Kurier Lubelski”), Srebrny Krzyż Zasługi — Tadeusz Gański („Kurier Lubelski”), Alicja Królkowska („Kamena”) i Zofia Rybak („Kurier Lubelski”). Ponadto Srebrne Krzyże Zasługi otrzymali: Lucyna Miłosa („Kurier Lubelski”), Szymon Borysiuk i Kazimierz Kowalski z Lub. Wydawnictwa Prasowego.

● W dniach od 1 do 3 czerwca po raz drugi gościł w Lublinie zespół Teatru Narodowego im. V. Alexandri z Jass. Zespół rumuński pokazał dwie sztuki: „Droga zaufania” według scenariusza Paula Cernela Chitric w reżyserii Cataliny Buzianu oraz komedię Alexandru Kirilowa „Trajbalci”.

● I teatrzyków intelijskich przy dzielnicowych placówkach kulturalnych Lublina wzięło udział w przeglądzie dalekojezdnych zespołów folkowych zorganizowanym przez WDK.

● Szkoła Podstawowa nr 1 w osiedlu I SM otrzymała imię Juliusza Słowackiego.

LITERATURA ukraińska poniosła ostatnio dotkliwą stratę: 14 maja zmarł znany pisarz Oksandr Kornijczuk i, który zastąpił przede wszystkim jako autor wielu utworów dramatycznych granicy na scenach ukraińskich, radzieckich i poza granicami Kraju Rad. Był też działaczem społeczno-politycznym — pełnił funkcje przewodniczącego Rady Najwyższej Ukrainy oraz zastępcy przewodniczącego Światowej Rady Pokoju. Był jednocześnie członkiem rzeczywistym Akademii Nauk Ukrainy i ZSRR. Oksandr Kornijczuk urodził się w roku 1905 w miejscowości Chrystyniuka obwodu Czernkaskiego w rodzinie kolejarza. Studia filologiczne ukończył w r. 1923 na Wydziale Literackim Instytutu Oświaty Ludowej w Kijowie. Pracował a początkowo jako scenarzysta i redaktor w kinematografii ukraińskiej w Kijowie, Charkowie i Odessie. Z czasem poświęca się całkowicie pracy pisarskiej i działalności społeczno-politycznej.

Twórczość literacką rozpoczął w roku 1925 jako nowelista. Pierwszą sztukę teatralną napisał w roku 1928 dla teatru młodzieży robotniczej. Nazywała się ona „Na granicy” i poruszała zagadnienia miejsca artysty w społeczeństwie demokratycznym. Następnym utworem dramatycznym „Kamienna wysep” (1930 r.) dotyczyła walki ideologicznej w ówczesnej społeczności ukraińskiej, a „Saturm” (1931) wyraża ideał międzynarodowej solidarności proletariackiej. W utworach tych pisarz wyraźnie poszukiwał nowych form wyrazu. Ślawę przynosi mu sztuka „Zagłada eskadry” (1932), odzwierciedlająca jedno z

najtragicznych wydarzeń wojny domowej. Nagrodzona została na konkursie wszechzwiązkowym i cieszyła się dużym powodzeniem na scenach krajowych i zagranicznych. Dużym osiągnięciem O. Kornijczuka była też sztuka „Platon Kreczet” (1934—1935), wystawiona również w Polsce pt. „Chirurg”. Pokazywała ona nową inteligencję ukraińską pochodzącą z ludu. W



1936 roku „Prawda” odwzorzył postać W. Lenina (po raz pierwszy w dramaturgii ukraińskiej, 1927), a w dramacie historycznym „Bohdan Chmelnicki” (1938) przedstawił wydarzenia walki wyzwoleniczej narodu ukraińskiego w XVII wieku. Ten ostatni dramat był dwukrotnie filmowany i przerobiony na libretto operowe. Komedię z życia wsi kolchozowej pt. „W stepach Ukrainy” napisał O. Kornijczuk w roku 1941. W czasie ostatniej wojny napisał i wystawił sztuki „Partyzanci w stepach Ukrainy” i „Front” o bezwzględnej

walce narodu ukraińskiego z okupantem.

Po wyzwoleniu Ukrainy O. Kornijczuk pisze nowe sztuki, z których najbardziej uznania dożył utwór o życiu górników pt. „Makar Dibrwa” (1948) oraz komedia z życia kolchozowego „Kalinowy gał” (1950). Ta ostatnia sztuka wystawiana była 20 lat temu również w Teatrze im. Osteryw w Lublinie.

W następnych swych utworach dramatycznych pisarz nawiązywał bezdusny biurokracym („Skrydła”), wyśmiewał mieszczańskie i egotystyczne (PP) wśród inteligencji („Dziśszego uśmiechu się sofie”), ukazał społeczeństwo kolchozowe na nowym etapie rozwoju („Nad Dnieprem”, 1959). Reprezentował on typ twórczości głęboko zaangażowanej społecznie i politycznie.

O. Kornijczuka wielokrotnie nagradzano za jego sztuki, był laureatem leninowskiej nagrody międzynarodowej „Za utrwalenie pokoju między narodami” i trzykrotnie odznaczony orderem Lenina.

W Polsce były wystawiane: „Zagłada eskadry”, „Platon Kreczet”, „Kalinowy gał”, „Pamięć serca” i „Kalinowy gał” w tłumaczeniach Wł. Broniewskiego, J. N. Miłera i Z. Głuchowa. M. I. Tak jego nazwisko podane jest zgodnie z wymową ukraińską, w „Miejscu słowniku pisarzy narodów europejskich ZSRR”, Warszawa 1965, s. 126. Często używana w tekstach polskich forma Kornijczuk jest nieuzasadnionym nawiązaniem do rosyjskiego brzmienia nazwiska.



**T**AK więc po wieloletnich staraniach zapadła ostateczna decyzja o budowie w Lublinie nowego gmachu dla Teatru im. Juliusza Osterwy. W dniu 30 maja Prezydium WRN podjęło w tej sprawie specjalną uchwałę, przeznaczając zarazem ze swojej rezerwy inwestycyjnej 80 mln zł na lata 1974-1975.

Budynki, zgodnie z ogólnym planem zagospodarowania przestrzennego miasta, stanowią zbiegu ulic Nowotki i Grottego. Kamień węgielny zostanie położony 22 lipca 1974 roku, a dzięki skróceniu cyklu inwestycyjnego przekazanie teatru do użytku przewiduje się w lipcu 1978 roku. Dokumentację projektowo-kosztorysową opracowuje już specjalna pracownia w Biurze Projektowo-Budowlanym Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt” w Lublinie, wykonawcą będzie Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, inwestorem tymczasowym DIM w Lublinie, od 1 stycznia 1973 roku zostanie powołany specjalny zarząd inwestycji.

Generalnym projektantem nowego gmachu jest dr inż. arch. Stanisław Bienkuński z Warszawy, laureat konkursu architektonicznego na ten obiekt z roku 1960. Podstawą nowego opracowania jest właśnie ten projekt. Poniżej zamieszczamy rozmowę z generalnym projektantem. W ostatnich 10 latach inż. Bienkuński zaprojektował m. in. centrum radiotelewizyjne w Warszawie przy ul. Woronicza, ośrodek telewizyjny w Krakowie, rozbudowę gmachu Ministerstwa Handlu Zagranicznego w Warszawie oraz kilka budynków biurowych. Poza pracą zawodową jest st. wykładowcą w Instytucie Projektowania Architektonicznego Politechniki Warszawskiej, którym kieruje prof. Hryniewiecki.

— Zasadniczą zmianą w projekcie konkursowym jest wprowadzenie sceny eksperymentalnej, bez której współczesny teatr jest raczej nie do pomyslenia. Może kilka słów na ten temat?

— To raczej widownia eksperymentalna na 250 miejsc, spełniająca jednocześnie rolę sceny. Jest to pomieszczenie o charakterze zbliżonym do studia telewizyjnego, w którym istnieje możliwość dowolnej aranżacji wnętrza w każdym przedstawieniu. Podłoga jest pozioma i scenę można umieszczać w dowolnym miejscu, a specjalne urządzenia pozwolą na swobodne kształtowanie amfiteatralnej widowni przy zawsze dobrej widoczności. Dzięki temu można stworzyć taką atmosferę, iż widz będzie się czuł bardziej związany ze spektaklem, bo właściwie nie będzie żadnej granicy pomiędzy sceną a widownią, co dzisiaj jest generalną zasadą takiego małego teatru.

Ten teatr eksperymentalny jest w pewnym sensie niezależny od głównego teatru — ma własne wejście, własne foyer. Natomiast obie części mają wspólne zaplecze — zespół garderób, bazę produkcyjną dekoracji, obsługę sceny, urządzeń technicznych i oświetleniowych. W przypadku równoległych przedstawień nie będzie możliwości przenikania widzów w sposób niekontrolowany z jednego wnętrza do drugiego.

— Nowe w teatrze opanowało nie tylko sceny, ale i sceny eksperymentalne, ale coraz częściej ukracza także na sceny duże, tradycyjne. Myślę, że budując nowy obiekt, trzeba go, było z góry do tego przygotować.

— Naturalnie. Duża widownia, która na poziomie parteru obejmuje 800 miejsc, podobnie jak jej scena mają maksymalne warunki do jej bardzo elastycznego kształtowania. Tak więc 10 pierwszych rzędów tworzy ruchomą część widowni. Po prostu można je zlikwidować, przenosząc na ich miejsce sce-

ne, a na właściwą scenę wprowadzić widzów. Mało tego. W poprzednim projekcie mieliśmy klasyczny układ: na osi widowni scena właściwa, z obu stron sceny boczne, z tyłu — scena tylna. Przedłużeniem tych scen bocznych w kierunku widowni były kieszenie dekoracyjne, zapewniające sprawność przemieszczania dekoracji. Otóż pozostawiając zasadę działania tych kieszeni, można było — otwierając ściany tych pomieszczeń od strony widowni — uzyskać jakby dodatkowe aneksy widowni na owe 10 rzędów, gdy na ich miejscu instalujemy scenę. A jeżeli jeszcze główną scenę przekształcimy na widownię, to będziemy mieli razem już nie 800, ale 1000 miejsc dla widzów.

— Zajmemy w dobre pomieszczenie przekształcając tradycyjnego teatru. Zacziera się różnica pomiędzy sceną a widownią, widz niejako bezpośrednio uczestniczy w spektaklu. Nie wiadomo, co jeszcze wymyślił reżyserzy czy inscenizatorzy. Trzeba być przygotowanym na najgorsze, chociaż ludzie teatru powiedzą — na najlepsze...

## Teatr Lublina będzie ogromny...

— Tak, teatr przechodzi poważne przeobrażenia przestrzenne. W rozwiązaniach architektury teatru trzeba zapewnić maksymalną elastyczność, oczywiście w granicach możliwości technicznych. Wymyślić można dużo rzeczy, ale trzeba się liczyć z realizacją w określonym terminie i z możliwościami warsztatowymi naszego przemysłu czy rzemiosła. Otóż ten tzw. duży teatr będzie posiadał naturalnie scenę obrotową. Ale nie tradycyjną w charakterze bębna, lecz rodzaj talerza obrotowego, funkcjonującą na scenie głównej, ale którą będzie można wysuwać także na widownię w miejsce, opróżnione przez owe 10 rzędów foteli. Będzie również możliwość projekcji filmowej — także w sensie normalnego kina, a przy szerokim portalu można dowolnie kształtować wielkość ekranu, bądź zainstalować nawet dwa lub trzy ekrany. Więc chyba wachlarz możliwości jest bardzo szeroki.

— Aktor to nie tylko współtwórca przedstawienia, ale także człowiek, któremu trzeba zapewnić możliwość najlepsze warunki pracy. Nie zawsze o tym myślimy w przeszłości, czego dowodem chociażby obecny budynek ze swoim stosunkowo prymitywnym wyposażeniem. Były przecież sytuacje, że inspektor pracy chciał zamknąć budynek.

— Mogę zapewnić, że warunki socjalne pracowników zespołu zostały zabezpieczone w stopniu maksymalnym. Garderoby są bardzo wygodne. Sala prób sceny głównej w stosunku do poprzedniej wersji będzie powiększona, bo obecnie istnieje słuszną chyba tendencją, aby próby końcowe odbywały się w warunkach zbliżonych do tych, jakie istnieją na właściwej scenie. Sprawa wysokości sali nie ma tu większego znaczenia, natomiast proporcje powierzchni bardzo zasadnicze. Sala prób dla sceny eksperymentalnej jest identycznie taka sama jak scena, po prostu znaj-

duje się ponad nią. Naturalnie są odpowiednie pracownie, jak krawiecka czy fryzjerska i wszelkie urządzenia sanitarne. W holu na parterze przy wejściu dla aktorów zaprojektowano czytelnikę czasopism, jadalnię lub bar samoobsługowy powiązany z zasadniczą kawiarnią.

Trzeba było jeszcze mieć na uwadze fakt, że budynek będzie bazą dla teatru objazdowego. Samochody, zabierające dekoracje dla tego teatru, otrzymają kilka miejsc w specjalnym holu pod dachem, tak że nie będą one narażone na wpływy warunków atmosferycznych.

Oczywiście w fazie projektowania techniczno-roboczego mogą jeszcze nastąpić jakieś uściślenia czy dodatki w dziale techniki, związane z wprowadzeniem maszyn czy urządzeń, które dziś jeszcze nie istnieją. Ale będzie możliwość ich ewentualnego zastosowania.

— Wśród wielu nowych funkcji teatru jest również bezpośrednio oddziaływanie na otoczenie, na środowisko. Budynek teatru nie może być wieżą z kości słoniowej.

— Na parterze tworzymy kawiarnię o podwójnej funkcji. W czasie przerw w spektaklach służyć będzie publiczności teatralnej, poza tym jako kawiarnia otwarta dla wszystkich. Na jej styku z holem szatniowym powstanie mała księgarnia. Wydaje mi się, że powinny się w niej znaleźć wydawnictwa związane z teatrem czy w ogóle ze sztuką...

— A nie z upratą buraka cukrowego...

— Właśnie, więc wydawnictwa związane ze sztuką, kulturą słowa, plastyką czy kulturą dźwięku. Na pierwszym piętrze istnieje duży foyer, związane z wydzieloną palarnią. W foyer można urządzać różne wystawy. Dalej — foyer i palarnia mają połączenie z dużym balkonem wzdłuż elewacji gmachu od strony dużego placu przed teatrem. Z tego balkonu będzie można przejść do kawiarni ogrodowej, powiązanej z kawiarnią pod dachem, a posiadającej estradę i krąg taneczny.

— Z użytkownika budynku widać, że przed budynkiem teatru w stronę Al. Racławickich powstanie duży plac, tworzący jakąś całość urbanistyczną. Co z tym placem?

— Część wolnej przestrzeni pochłonie węzeł komunikacyjny, którego rozwiązanie opracują lubelscy urbanisci. Ale pozostanie jeszcze dość duża wolna powierzchnia. Mam projekt — nie wiem jeszcze, czy to się uda — stworzenia tam jakby trzeciej widowni. Istnieje możliwość podziemnego połączenia estrady na tym placu z wnętrzem teatru — to przejście dla aktorów. Sam plac można zagospodarować nie tyle w sensie postawienia tam trybun, ale jakichś wzniesień terenu,

które umożliwią publiczności lepszą widoczność na przedstawieniach czy imprezach tu organizowanych. Istnieje koncepcja postawienia na tym placu pomnika. Wydaje mi się, że stopnie tych wzniesień będzie można związać w całość z tym pomnikiem Wyzwolenia czy pomnikiem Partyzanta.

— Budowa wielektich zakładów pracy powstaje za sobą zawsze wznoszenie nowych dzielnic mieszkaniowych. Tutaj trudno mówić o dzielnicach, ale wyjątkowo trudne warunki mieszkaniowe odnotowują setki aktorów od osiedlenia się w Lublinie.

— Tuż obok zespołu teatralnego powstanie budynek, a w nim około 20 mieszkań, co w zasadzie powinno zapewnić właściwą rotację aktorów. Będą to przeważnie M-3 i M-4 oraz parę M-2. Nic także nie stoi na przeszkodzie, aby obok teatru wybudować basen kąpielowy. To stary projekt, myślałem nawet, że jest już zrealizowany.

— Interesuje mnie jeszcze techniczna strona samej budowy, to znaczy rodzaj konstrukcji gmachu.

— O wyborze konstrukcji decydują podstawowe wnętrza budynku — widownia. W języku budowlanym są to pojęcia wielkoprzestrzenne i przykrycie ich najekonomiczniej wypada w stali. Te powierzchnie wielkoprzestrzenne zajmują w obiekcie około 70 procent i to decyduje, że cała konstrukcja powinna być stalowa.

— Taka konstrukcja jest jednak droższa od żelbetonowej, a my bardzo lubimy oszczędności...

— Gdyby się tego specjalnie doszukiwać, to istnieją możliwości budowania pewnych fragmentów z żelbetu. Ale to bardzo utrudniałoby wykonawstwo. I pytanie, czy te oszczędności byłyby rzeczywiście oszczędnościami. Ponadto jednolity system pozwala na szybszą realizację i w sumie właśnie to się opłaca.

— Jak przebiega samo projektowanie?

— Całkowicie utrzymujemy się w czasowym harmonogramie. W skład naszego zespołu częściowo wchodzi koleżdy, którzy brali udział w pierwszym opracowaniu. W tej chwili konstrukcją zajmują się inż. Humięcki, specjalista od konstrukcji stalowych. Zagadnienia instalacyjne prowadzi inż. Kapczyński, akustykę inż. Dodacki, koleżdy z Lublina rozwiążą zagadnienia drogowe, komunikacyjne i zieleni — a więc sprawy na styku potrzeb miasta i potrzeb obiektu. W tej chwili jesteśmy w fazie opracowywania założeń techniczno-ekonomicznych, czyli dawnego projektu wstępnego. Potem będzie faza techniczno-robocza, która tworzy dokument uprawniający do realizacji, wreszcie opracowania wewnętrzne, akustyki, mechanizacji sceny, oświetlenia itp. Przyjaliśmy razem z wykonawcą zasadę sukcesywnego splotu dokumentacji w miarę potrzeb realizacji, co i przyspiesza wykonawstwo i daje możliwość bieżącego uzupełniania tego, co się naniósł na papier.

Chciałbym jeszcze powiedzieć na zakończenie, że gdy po wygraniu konkursu musiałem przerwać dalszą pracę z powodu braku środków na realizację, byłem bardzo zawiedziony. Teraz jestem szczęśliwy, że mogłem wrócić do dawnego projektu, który w zasadzie dobrze wytrzymał próbę czasu. Dziękuję władzom wojewódzkim i miejskim, sądzę także, że mieszkańcy Lublina i województwa będą zadowoleni ze swego teatru.

Rozmawiał  
Jerzy Dostatni

# Zamojski ping-pong

Ireneusz J. Kamiński

ZAMOŚĆ ma fokę i zabytki, foka ma staw w parku, więc się cieszy, zabytki mają ducha, który straszy raczej bezskutecznie, więc renesans działy. Z przedstawionej sytuacji łatwo wyprowadzić wniosek, że Zamość posiada również plastyków. Stwarzają oni okazję do oglądania — foka też. Zwierzę to ma postać egzotyczną i wąsatą — plastycy też. Jeśli zaś foka zdechła? Prózne nadzieje, malarze w Zamościu nie poszli jeszcze jej śladem, rzeźbiarz Hycki prezentuje się nawet lepiej niż przyzwyczajony, a Wasiluk trzyma się „perły” mocno i od-

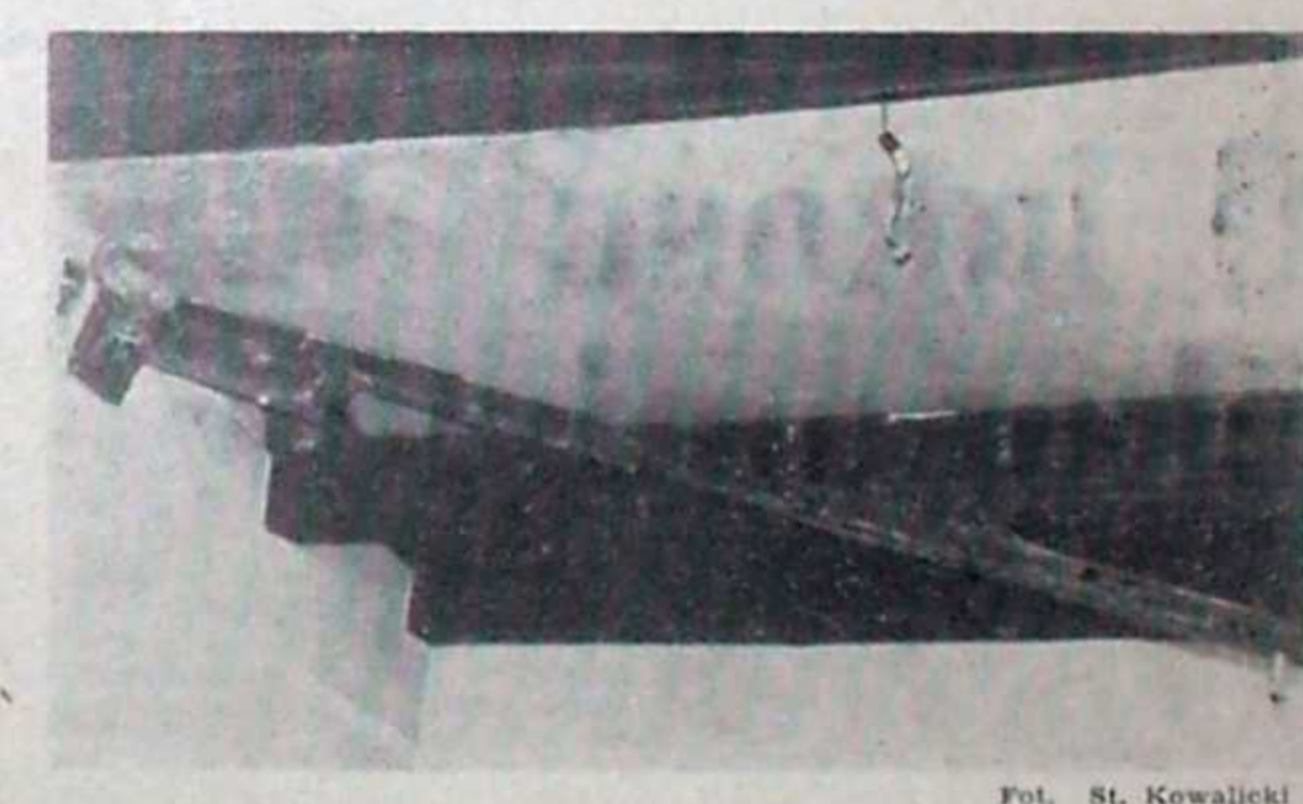
miernego i zgodnego z potrzebami nasyceń terenu kadrą o wysokich kwalifikacjach. A jakie to wszystko zbieżne z programem rozwoju kultury w województwie, który wyznacza Zamościowi ważną rolę ośrodka twórczego, szczególnie mocno obsadzonego właśnie przez plastyków!

Ale aktywny powrót na prowincję to naruszenie naturalnego porządku rzeczy: psychologicznego, kulturowego i spirytualnego. Pogwałcenie ostatniego z nich przyniosło już konkretne efekty — akustyczne, budowlane i prokuratorские. Oto za pięć dwunasta, czyli przed otwarciem pierwszej wystawy „Grupy

wany, sprawia wrażenie alibi dla tego znakomitego w rachunkach przedsiębiorstwa, w którym z pozytkiem pracuje. Nie śmiem jednak nawet przypuszczać, że upadek pekatowej belki został celowo zaranżowany — aby raz na zawsze pozbyć się kłopotu.

Bo kłopot z tymi plastykami nie mały: zamiast nauczać pokornie w liceum plastycznym — jak przez ćwierć wieku robili to ich poprzednicy — zapragnęli pełniej uczestniczyć w sprawach społecznych i kulturalnych tego wyjątkowego miasta. Sprzyjało ono niegdyś artystom, samo jest dziełem sztuki, zdawać by się mogło, że nie stanie między Zamościem a grupą młodych malarzy, grafików i rzeźbiarzy, którzy zaoferowali mu swoje usługi i zdolności. Prezentowali nie tylko chęci i życzliwą gotowość. Nie czekając na propozycje, sami wystąpili do władz z konkretnym programem rzetelnej roboty. Przewidywał on udział plastyków przy pracach renowacyjnych w obrębie zespołu staromiejskiego, zwracał uwagę na fatalny stan estetyczny osiedli mieszkaniowych, placów i parków, w celu zatarcia tej brzydoty proponując stworzenie generalnej koncepcji aranżacji plastycznej owych układów przestrzennych. Porządkowaniem tej problematyki winna — ich zdaniem — zająć się Społeczna Komisja do spraw Estetyki Miasta, którą jak najszybciej należy powołać, może w oparciu o przedstawioną przez plastyków listę nazwisk.

Po raz pierwszy wystąpili z tym memoriałem jesienią ubiegłego roku, na posiedzeniu Komisji Kultury i Sztuki MRN. Zyskali aprobatę. Potem szli proszalne pisma tu i ówdzie i kilkakrotnie, wszędzie spotykając się z tzw. pełnym zrozumieniem i poparciem „ślusnej inicjatywy”. I na tym koniec, cisza, lno hukiem belki raz rozproszona. Był może ten ich program jest miejscami za radosny, za młody, zbyt nad poziomem zamojskich możliwości wylatującej, aczkolwiek nieczym nie da się zakwestionować obserwacji i propozycji plastyków dotyczących Starego Miasta. Jeśli jednak już teraz nie można stworzyć w parku miejskim stałej galerii rzeźby plenerowej i skromnych choćby pomników Jana Zamojskiego, Szymona



Fot. St. Kowalik

Szymonowica i Róży Luksemburg, to czy już właśnie dziś nie warto zastanawiać się nad ewentualnością jutrzejszej realizacji tych zamierzeń? Wypada bowiem, nie z grzeczności lecz rozsądku, potraktować autorów memoriału na serio, jak partnerów, a nie jak naiwnych młodzieniaszków, którym marzy się bóg wi co. To „bóg wi co”, w moim przekonaniu, ma przecież całkiem racjonalne przesłanki.

W zabytkowym Zamościu plastycy tworzą jedyną środowisko twórcze, co tamtejsze władze kulturalne zobowiązuje chyba do szczególnie życzliwego nachylenia się w ich kierunku, do którego stawiało się uczniów za karę. Przypomnę tylko żenującą historię z obrazami powstałymi w 1966 r. na plenerze w Zwierzyniecu, które przez długi czas walały się z kąta w kąt (karny?), a i obecnie spoczywają snem letargicznym w magazynku Delegatury BWA. Jest to szczególnie zawstydzająca postać marnowania wartości kultury artystycznej, nie ekspozycyjny obraz umiera śmiercią społeczną i pospolitą, jak pewien malarz futurysta, co to za ciężko spadł z wojskowego konia.

Nikt znający trudną sytuację lokalowo-budowlaną Zamościa nie śmie wymagać od miasta cudów, błyskawicznego wyczarowania galerii sztuki, w której obrazy i grafiki Nowosielskiego, Panka, Wolffa, Rudowicz, Filipaka, Siennickiego znalazłyby bezpieczne i właściwe miejsce. Można by przecież oczekiwać czegoś, co przychodzi określić mianem ludzkiego traktowania dzieł sztuki. Szóstoletnia kwarantanna zaaplikowana płótnom odsyła te nadzieje w rejony wielkiej naiwności. A teraz przypowieść:

Zył niegdyś w mieście Zamościu niejaki Władysław Zurawski, znany przed wojną grafik ze szkoły Skoczylasa, którego prace krążyły po najświetniejszych salonach europejskich, gdzie w reprezentując sztukę polską w USA. W latach pięćdziesiątych wykładał w zamojskim PLSP, mocno klepiąc biedę, opuszczony. Umarł w 1962 r., czyli dziesięć lat temu.

Czy ktoś zauważył tę rocznicę? Nie chodzi o pomnik, oświadczenie mam zresztą awersję do pomników, chodzi o ślad pamięci, budujący lo-

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 3



**B**EZPOŚREDNIO po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. samorząd otrzymał od państwa szerokie uprawnienia. Powierzono mu pieczę nad majątkiem miejskim, zakładaniem przedsiębiorstw miejskich, uchwalaniem budżetu i podatków, a także nad sprawami szkolnictwa powszechnego, oświaty i kultury, zdrowia publicznego, rozbudowy miasta.

Dokonane w ostrej walce klasowej wybory do Rady Miejskiej Lublina w lutym 1919 r. oddały władzę w mieście w ręce prawicy społecznej, której przewodziła endecja. Ponad 8-letnie rządy endeckich przywódców nie przyniosły miastu chwały. Prowadzili oni politykę szkodliwą dla gospodarki miejskiej, wyrażającą interesy przemysłowców i kupców, nie zdołali zapobiec klęsce bezrobocia.

Rozwiązanie prawicowej Rady Miejskiej nastąpiło dopiero w maju 1927 r. na mocy decyzji władz centralnych. Wybory zostały wyznaczone przez władze państwowe na 19 czerwca 1927 r. Społeczeństwo Lublina domagało się Rady Miejskiej odpowiadającej układowi sił społecznych w mieście. W akcji przedwyborczej najaktywniej wystąpiły organizacje robotnicze. W nurt walce wyborczej włączyła się nowa, radykalna partia — PPS Lewica. Partia ta powstała bezpośrednio po przewrocie majowym z najbardziej lewicowych, opozycyjnych sił, które oderwały się od PPS. Działala ona legalnie i samodzielnie, ale współpracowała z Komunistyczną Partią Polski. Posiadała na terenie Lublina znaczny wpływ, zwłaszcza w szeregach proletariatu fabrycznego. Z aktywnym PPS Lewicy nawiązał kontakt w połowie maja 1927 roku działacz KPP, Franciszek Józwiak. Pracą partii przed wyborami żywo interesował się także inny działacz KPP związany z Lublinem, Jan Hempel. Represje policyjne oraz brak jedności w szeregach lewicy robotniczej uniemożliwiły tej partii wystawienie własnej listy. PPS Lewica wystąpiła więc wspólnie z KPP oraz z członkami i sympatykami byłej Niezależnej Partii Chłopskiej w bloku „Jedności Robotniczej”.

Ale duża część klasy robotniczej Lublina w dalszym ciągu popierała politykę PPS uważając, że partia ta walczy w obronie jej interesów. Kierownictwo PPS po rozwiązaniu Rady Miejskiej postawiło przed organizacją lubelską zadanie opanowania samorządu miejskiego w nowych wyborach. Partia ta wysunęła wspólną listę z Radą Związków Zawodowych i inteligencją pracującą. Główną formą pracy propagandowej PPS w akcji przedwyborczej była działalność zewnętrzna w formie wieców i zebrań, a także agitacji w zakładach pracy. Kolportowano również broszury, odezwy i ogłoszenia. Wiece PPS należały do najlepiej zorganizowanych i największych liczebnie. Przycho-

dziło na nie nawet po kilka tysięcy uczestników.

Przywódcy PPS nie mieli jednak jasno sprecyzowanego programu społeczno-gospodarczego, głównym nurtem ich działalności propagandowej stała się ostra krytyka pracy społecznej w dotychczasowym samorządzie miejskim i w sejmie. Pierwszy wiec PPS w dniu 12 czerwca zgromadził około 800 osób, zaś następny 1300. Na obu przemawiał senator Stefan Kopicński, krytykując pracę prawicowych stronnictw politycznych.

Jedną z form działalności PPS w akcji przedwyborczej było opanowanie i rozbijanie wieców i zebrań

Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Rzemieślników Chrześcijańskich i inne. Endecy prowadzili agitację przedwyborczą w trzech kierunkach: walki z komunizmem i z Żydami, prób kompromitowania lewicowych kandydatów na radnych oraz propagowania podniesienia stanu gospodarczego miasta. W akcji tej wspierał endecję jej organ lokalny „Głos Lubelski”.

Mimo iż ugrupowania endeckie zapowiedziały rezygnację z agitacji poprzez wiece i zebrań publiczne, to jednak zorganizowały one w połowie czerwca kilka wieców starannie przygotowanych. Ochronę ich endecja powierzyła Straży Narodo-

wanie centrowe pod nazwą: Blok Związków Pracowniczych. Pod względem politycznym blok ten związany był z sanacją i określił mianem „naprawy”. Jego mówcy, jak np. Aleksander Wyszynski i Julian Borkowski, domagali się na wiecach oddania Rady Miejskiej w ręce ludzi bezpartyjnych. Ostro krytykowali zarówno ugrupowania „narodowe” jak też socjalistów. Przy poparciu administracji i władz sanacyjnych agitatorzy bloku „naprawy”, dysponując środkami materialnymi i technicznymi, prowadzili intensywną działalność propagandową. Na ulice miasta wysyłano samochody z megafonami, za pomocą których wygłaszano krótkie przemówienia. Agitowano także przy użyciu barwnych plakatów i ulotek masowo kolportowanych w mieście.

W akcji przedwyborczej uaktywniły swoją działalność polityczną również liczne ugrupowania żydowskie. Żydowski Związek Robotniczy Bund zorganizował własny komitet, który prowadził różne formy agitacji. Główną formą oddziaływania Bundu na proletariat były masowe wiece. W jednym z nich w dniu 6 czerwca przy ul. Bychawskiej uczestniczyło około 3000 osób. Do wyborów oddzielne listy zgłosiły socjalistyczne organizacje żydowskie: Poalej — Sjon Lewica i Poalej — Sjon Prawica oraz ugrupowania o programie umiarkowanym — Żydowska Partia Ludowa (folkiści). Burżuazyjne ugrupowania żydowskie ortodoksów i sjonistów zorganizowały wspólny blok wyborczy i wystawiły jedną listę. Miały one silny wpływ wśród przemysłowców i kupców oraz właścicieli nieruchomości.

Podstawy prawne wyborów samorządowych określała ordynacja, wprowadzona na mocy dekretu Naczelnika Państwa z dnia 13 grudnia 1918 roku. Czynne prawo wyborcze przysługiwało każdemu, kto ukończył 21 rok życia, posiadał obywatelstwo polskie oraz stałe zamieszkanie na terenie miasta od 6 miesięcy, natomiast biernie — osobom koczującym z czynnego prawa wyborczego, które ukończyły 25 lat oraz umiały czytać i pisać po polsku. Rada Miejska, wybierana na trzy lata, była organem uchwalającym i kontrolującym, zaś Magistrat organem zarządzającym i wykonawczym. Ilość radnych została zwiększona z 46 w poprzedniej kadencji do 47, co było związane ze wzrostem liczby mieszkańców.

Do kierowania całokształtem prac związanych z wyborami została powołana siedmioosobowa główna komisja wyborcza, jej przewodniczącym był sędzia Sądu Okręgowego Ludwik Harasiewicz. Miasto podzielono na 50 obwodów głosowania.

Wybory, przeprowadzone 19 czerwca 1927 roku, wykazały dużą aktywność polityczną wyborców. Spośród 37214 uprawnionych do głosowania, stanęło do wyborów 47383, a więc 82,6 proc. Na listy wy-

borcze padło 46735 głosów. 648 głosów zostało unieważnionych.

Zwycięstwo w wyborach odniosła PPS, otrzymując 16203 głosów tj. 34,8 proc. Przypadło jej 17 mandatów radnych i 9 zastępców radnych. Ugrupowania endeckie poniosły klęskę w porównaniu do wyborów z 1919 roku (32,5 proc.). Zdobyły one 8943 głosy (19,1 proc.) uzyskując 9 mandatów radnych i 5 zastępców.

Na trzeciej pozycji uplasował się Bund, zdobywając 7251 głosów (15,5 proc.) co mu dało 8 mandatów radnych i 4 zastępców. Na dalszych, niemal równorzędnych pozycjach, znalazły się: centrowy Blok Związków Pracowniczych (późniejszy Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem) oraz prawicowy Narodowy Blok Żydowski. Oba bloki wyborcze uzyskały po 5 mandatów radnych i 2 zastępców, przy czym pierwszy ilością 4906 (10,5 proc.) głosów, zaś drugi — 4509 (9,8 proc.) głosów. Znacznie słabiej wypadły wybory dla Żydowskiej Partii Ludowej (folkiści), która zdobyła tylko 2 radnych i 1 zastępcę. Poalej — Sjon Lewica uzyskała 1 mandat.

Tak więc lewica socjalistyczna (PPS, Bund, Poalej-Sjon Lewica) rozporządzała 26 mandatami. Stanowiło to 55 proc. składu Rady Miejskiej, podczas gdy w Siedlcach, drugim co do wielkości mieście w województwie lubelskim, lewica socjalistyczna zdobyła 44,8 proc. mandatów, zaś w Radomiu 51,3 proc. mandatów.

Prawica społeczna weszła do nowej rady znacznie osłabiona. Dysponowała ona tylko 14 mandatami, co stanowiło zaledwie 30 proc. ogółu radnych (w poprzedniej radzie 39,2 proc.). Reprezentowały ją ugrupowania endecko-chadeckie, a także narodowe organizacje Żydów ortodoksów i sjonistów. Endecja i chadecja wprowadziły do Rady takich działaczy jak: Stanisław Bryła, Adam Majewski, prof. Ignacy Czuma, Stefan Smólski, ks. Stefan Dziubiński, Wacław Radzikowski, Edward Rettinger.

PPS w połowie 1927 roku miała jeszcze duży wpływ i poparcie w sferach robotniczych miasta. Znaczna część robotników żywiła nadzieję na rozwiązanie podstawowych problemów społecznych grodu poprzez Radę Miejską opanowaną przez socjalistów. Zarówno PPS jak i Bund uzyskały w wyborach poparcie części przedstawicieli ugrupowań radykalnych i lewicowych, które nie posiadały własnych list wyborczych.

PPS zdołała przeprowadzić do Rady Miejskiej wielu swych działaczy, członków władz partyjnych, jak: Władysław Kunicki, Feliks Kolarski, Stefan Choma, Leontyna Zakrzewska, Józef Szydłowski, Jan Świątek.

Lewica socjalistyczna przygotowywała się starannie do przejęcia

# Wybory przed 45 laty

Józef Marcuk

innych, zwłaszcza prawicowych, ugrupowań. Miejsowa prasa, a także materiały policyjne, dostarczały licznych przykładów wykonywania przez aktywnych PPS trybunów na wiecach endecji. Np. w dniu 14 czerwca na wiecu endeckim w czasie przemówienia Adama Majewskiego, pepesowcy wznosili wrogie okrzyki, a następnie śpiewali „Czerwony sztandar”. Zmusili organizatorów do rozwiązania wiecu.

Walka polityczna na wiecach niekiedy przeradzała się nawet w walkę fizyczną. W przeddzień wyborów ugrupowania „narodowe” zorganizowały wiec dla ludności wychodzącej z kościoła na Bronowicach. Gdy silna opozycja z PPS, złożona z kilkuset osób, próbowała nie dopuścić do głosu mówcy endeckiego Józefa Wikiera, uderzył on łaską jednego z członków PPS. Wzburzony tłum rzucił się na Wikiera, rwał na nim ubranie. Niektórzy nawet domagali się samobójstwa nad Wikiera. Wiec został rozbit.

Ugrupowania „narodowe” zorganizowały wspólny tzw. Chrześcijański Komitet Gospodarczy Obrony Polskość m. Lublina. W jego skład weszło kilkanaście prawicowych organizacji politycznych, społeczno-gospodarczych i zawodowych, jak: Związek Ludowo-Narodowy, Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, Narodowa Organizacja Kobiet,

wej, organizacja politycznej pracującej pod jej ideowym kierownictwem, dysponującej w Lublinie znaczną siłą. Na wiecach przemawiali najbardziej doświadczeni działacze Narodowej Demokracji, jak posłowie: K. Wierczak, Petrycki i Sołtyśki oraz A. Majewski, E. Rettinger, J. Kanarowski, R. Ślaski. Wszyscy mówcy wzywali do walki z komunistami i socjalistami.

Na posiedzeniu Zarządu Okręgu Straży Narodowej w dniu 9 czerwca, pod przewodnictwem Adama Majewskiego, uchwalono wyasygnować znaczną sumę pieniędzy na kupowanie głosów dla Chrześcijańskiego Komitetu Gospodarczego, a na posiedzeniu w dniu 15 czerwca postanowiono wynagradzać członków sumą 10 złotych dziennie za usługi w akcji wyborczej. Natomiast za każdą informację kompromitującą kandydatów na radnych lewicę, postanowiono wynagradzać oddzielnie. Uchwała zobowiązywała ponadto kierownictwo organizacji do porozumienia się z biskupem lubelskim w sprawie wydania specjalnej odezwy przedwyborczej do wiernych oraz wysłania zaufanego członka organizacji do hr. Zamoyskiego, który przyrzekł wpłacić na fundusz wyborczy ugrupowań narodowych sumę 9 tysięcy złotych.

Obok lewicy oraz skrajnej prawicy ukształtowało się także ugrupo-

wą i pracą badawczą z jednej strony, a dydaktyką i wychowaniem z drugiej strony. Konflikt ten próbowano złagodzić poprzez powoływanie praktyków gospodarczych na stanowiskach wykładowców i docentów kontraktowych. Przedsięwzięcie to nie dobiegło do skutku, nie spełniło pokładanych w nim nadziei, ale doprowadziło do pewnych zjawisk negatywnych. Władomym stan organizacyjny jednostek gospodarczych (przedsiębiorstw, kombinatów, zjednoczeń), nie mógł być szkołą zdolnych i nadających się do szybkiego postępu nauki kadr. Poza tym konieczność determinacji w rezygnowaniu z poważnej części dochodów (jako że uposażenia w szkoleństwie wyższym są o wiele mniejsze niż np. w przemyśle) i nieodporność wykazania się zdolnościami dydaktycznymi zawęziła bazę rekrutacyjną do minimum.

W obecnej praktyce uczelnie ekonomiczne są obwarowane ścisłymi planami i programami studiów podobnie jak przedsiębiorstwa wskaźnikami dyrektywnymi w dobre najwięcej centralizacji. Podział na kierunki studiów jest zbyt sztywny. Uczelnie ekonomiczne powinny posiadać więcej samodzielności w przeprowadzaniu korekt i w dostosowywaniu planów i kierunków studiów, a co za tym idzie i sylwetki absolwentów do swoich możliwości oraz zmieniających się w wyniku gwałtownego rozwoju nauki i techniki potrzeb słuchaczy i kadry profesorskiej. Kierunki studiów powinny określać ramowo pożądanym typ absolwenta, grupę zasadniczych przedmiotów i ich wymiar dydaktyczny w godzinach.

Wzrost nasycenia gospodarki narodowej kwalifikowanymi kadrami powoduje konieczność ograniczenia nadmiernej ilości wąskich specjalizacji i elastycznego dostosowywania profilu absolwentów do rzeczywistych potrzeb.

Zasób wiedzy podwaja się co 10 lat. Szybka adaptacja systemu kształcenia do zmieniających się warunków wymaga decentralizacji operatywnych decyzji w tej dziedzinie. Ministerstwo powinno spełniać za to w coraz większym stopniu funkcje programowa-

nia rozwoju szkolnictwa wyższego. Przedsięwzięcia te ograniczyłyby w poważnym stopniu wyjątkowo imobilizm organizacyjny szkolnictwa wyższego. Wyzwoliłyby to istniejące rezerwy zdolności kształceniowych i zwiększyłyby inicjatywę samych uczelni w optymalizacji programów nauczania i intensyfikacji procesu dydaktycznego.

Warunkiem prawidłowej konstrukcji programów kształcenia kadr ekonomicznych jest uwzględnienie perspektywicznego rozwoju naukowego i gospodarczego. Powinny one zawierać w coraz większym stopniu dyscypliny wynikające z przyszłych potrzeb społeczno-gospodarczych kraju. Jeśli przyjąć, że poważniejszą pozycję zawodową osiąga się w wieku 35—40 lat, to dzisiejsi absolwenci studiów ekonomicznych będą mogli znacznie wpływać na funkcjonowanie gospodarki w latach 1980—1985.

Analiza programów nauczania na kierunkach ekonomicznych naszych uczelni skłania do głębszej refleksji na temat roli nauki finansów w procesie dydaktycznym oraz sposobu uprawiania i wykładania metod ilościowych i matematycznych, które są stosowane w ekonomii.

Współcześni ekonomiści muszą posiadać rozległą i gruntowną wiedzę z dziedziny finansów. Już obecnie stoją oni przed koniecznością „sprawnego posługiwania się na wszystkich szczeblach gospodarki instrumentami finansowymi, które — jak wynika z kierunku ewolucji systemu funkcjonowania gospodarki socjalistycznej — stanowią będą główny element instrumentacji teoretyczno-analitycznej i praktycznej społecznej procesu planowania. Znamienne jest, że jedno z najważniejszych czasopism gospodarczych świata wychodzi pod nazwą „Financial Times”. Znaczenie dyscyplin finansowych dla gruntownych studiów ekonomicznych i kształtowania sylwetki absolwentów odpowiadającej zmieniającym się potrzebom rozwoju gospodarczego będzie ciągle wzrastało. O zapożyczeniu na wiedzę finansową w skali mikroekonomicznej zadecyduje wzrost skuteczności rozróżnienia gospodarczego, siły jego

działania. Obecnie jednak finanse jako przedmiot nauczania są wyraźnie niedoceniane. Na niektórych kierunkach studiów, jak np. ekonometrii czy ekonomii politycznej, w programie zupełnie nie przewidziano finansów. Studenci tych kierunków nie mają możliwości zapoznania się z systematycznym ujęciem takich kategorii, jak: pieniądź, procent, kredyt bankowy, podatek, budżet, zysk, fundusze przedsiębiorstw, rozliczenia pieniężne, kursy walutowe itp. Ograniczenie zbyt obszernych partii historycznych w poszczególnych dyscyplinach ekonomicznych oraz rezygnacja z geografii (z wyjątkiem kierunków: ekonomika handlu zagranicznego i ekonomika transportu) umożliwiłoby rozszerzenie wymiaru przedmiotów finansowych bez przeciążenia programu studiów.

Zasygnalizowania wymagają pewne tendencje przejawiające się w płaszczyźnie: ekonomia — matematyka i ich implikacje dla procesu dydaktycznego. Zauważę, że pewne próby absolutyzowania ilościowego aspektu rzeczywistości ekonomicznej wynikające z przekonania o zupełnej probabilistycznym charakterze zjawisk ekonomicznych. Znajdują one niekiedy wyraz w fetyszycyzmie wartości poznawczych metod matematycznych i w formalizmie rozumowania. Mierzenia zjawisk ekonomicznych nie może ograniczać się do aspektu ilościowego. Jako że miara jest dialektyczną jednością jakościowej i ilościowej strony zjawiska. Nie ma więc gnosologicznych podstaw do preferowania czy popadania w przeciwną skrajność i negowania możliwości i przydatności metod ilościowych w ekonomii. Zjawiska ekonomiczne mają endogeniczny i spontaniczny, a wobec tego w pewnym stopniu autonomiczny charakter. Realizują się one poprzez działania ludzkie. Aby więc zrozumieć prawidłowości rządzące nimi należy wyodrębnić i uchwycić prawa kierujące stosunkami międzyludzkimi w procesie produkcji i realizacji dóbr. Stąd bierze się konieczność badań makroekonomicznych i strukturalnych, a przede wszystkim jakościowych. One to określają granice zastosowań metod matemati-

# O jakość ekonomistów

Dokończenie ze str. 1

ilościowych w rozwoju studiów ekonomicznych, tworzenia większych zdolności kształceniowych będzie można rozwiązywać dopiero po sformułowaniu zasad perspektywicznej polityki zwiększania wpływu na rozwój gospodarczy osiągnięć naukowo — technicznych i ekonomiczno-organizacyjnych. Nowy system funkcjonowania gospodarki narodowej, który zostanie wprowadzony około 1975 r. określi faktyczne wymagania co do poziomu i zakresu kwalifikacji kadry ekonomistów.

Dążenie do poprawy jakości absolwentów, wzrostu zasobu i poziomu ich kwalifikacji wymaga udoskonalenia procesu dydaktycznego i weryfikacji programów nauczania. Intensyfikacja metod dydaktycznych, rzeczywistość a nie deklaratoryjna, to nie tylko zmniejszenie liczby studentów przypadających na jednego pracownika naukowo — dydaktycznego, liczebności grup wykładowych i ćwiczeniowych, liczby uczestników przypadających na jedno seminarium magisterskie, lecz także nowoczesne metody audio-wizualne, lepsze zapoznanie w aparaturę i urządzenia np. do nauczania ETO, i konieczność zdecydowanego przełamania barier powierzenia dydaktycznej i socjalnej, jaką napotykała w swym rozwoju uczelnia ekonomiczna.

Przeciążenie dydaktyczne młodej kadry naukowej hamuje jej rozwój i przedłuża okres usamodzielniania

się, a przeciążenie pracowników o bogatym doświadczeniu i kwalifikacjach prowadzi do obniżenia wymagań stawianych studentom i w konsekwencji do obniżenia poziomu wykształcenia oraz zmniejszenia tzw. sprawności nauczania i później w kożeniu studiów. Poważenie występująca nadmierna liczebność seminariów magisterskich nie pozwala samodzielnie kadrze nauczającej zapewnić wystarczającej opieki oraz koniecznej pomocy i inspiracji intelektualnej w pogłębianiu wiedzy metodologicznej i podstaw specjalizacji.

Obowiązująca w planach studiów zbyt duża ilość przedmiotów, które wykładane są w wymiarze 15—30 godzin, prowadzi do encyklopedycznego ich ujmowania i powoduje dążenie wszystkich profesorów, docentów, a nawet wykładowców do posiadania „własnych” przedmiotów, a studentów uczy tylko dyktantyzmu. Postulowana komasacja przedmiotów pozwoliłaby na gruntowniejsze kształtowanie wiedzy, zdolności i osobowości studentów. Szczególną uwagę należy otoczyć studentów wybitnie uzdolnionych poprzez stosowanie dla nich indywidualnych programów studiów. Stan faktyczny warunków, w jakich realizowany jest proces dydaktyczny, odbiega nawet od minimalnych potrzeb. Stąd bez zdecydowanego kroku naprzód w tej dziedzinie szanse powodzenia ambitnych przedsięwzięć, zarówno cząstkowych jak i kompleksowych, będą bardzo ograniczone.

Przeciążenie dydaktyczne pracowników naukowych doprowadziło do powstania na wyższych uczelniach ostrego konfliktu między na-



władzy w samorządzie miejskim. 14 lipca wybory prezesa Rady Miejskiej dały jej pełne zwycięstwo. Wprowadziła ona na to stanowisko, 26 głosami, działacza PPS Władysława Kunickiego. Narodowa Demokracja uzyskała dla swego kandydata, Stanisława Bryby, tylko 8 głosów, natomiast centrowy Klub Demokratyczny wystąpił samodzielnie, oddając swe głosy na Juliana Borkowskiego. Wiceprezysami zostali prawnik Adam Gnoński z PPS i lekarz Seloma Herszenborn z Bundu, sekretarzami: Ludwik Maczyński, Karol Szykułski i Józef Świeboda z PPS oraz Ela Ojer Goldblum z Bundu. Tak więc w składzie 7-osobowego Prezydium Rady Miejskiej znalazło się 5 radnych z PPS i 2 z Bundu.

Na posiedzeniu w dniu 19 lipca dokonano wyboru prezesa miasta. Został nim wybrany wszystkimi głosami lewicy poseł na sejm, członek Rady Naczelnej PPS, Antoni Pączek. Prawica zyskała tylko 10 głosów dla swego kandydata, Czesława Szczepańskiego. Tegoz dnia wybrano pierwszym wiceprezydentem Adama Mrowińskiego, drugim Stefana Chomę, obaj z PPS. Wśród 5 ławników znaleźli się: Leontyna Zakrzewska i Tadeusz Kadura z PPS, Bajla Nisenbaum z Bundu, Roman Słaski reprezentujący Narodową Demokrację oraz Abram Kantor z Żydowskiego Bloku Narodowego. Tym samym w Prezydium Magistratu zasiadło 6 przedstawicieli lewicy społecznej i tylko 2 reprezentantów prawicy na podrzędnych stanowiskach. Faktycznie cała władza w samorządzie miejskim przeszła w ręce PPS i Bundu. Lublin znalazł się w rękach 20 miast byłej Kongresówki, w których powstały magistraty posiadające większość socjalistyczną. Na terenie województwa lubelskiego był on jedynym tego rodzaju miastem.

Zwycięstwo socjalistów w wyborach do Rady Miejskiej Lublina w 1927 r. wytworzyło korzystne warunki dla odrodzenia się demokratycznego samorządu. Mając absolutną większość, ugrupowania robotnicze zdobyły całą władzę w mieście. Nowy samorząd dokonał szeregu zmian w polityce gospodarczej i kulturalnej na korzyść ludzi pracy. Spowodował zatrudnienie większości bezrobotnych na robotach publicznych, obciążył podatkami burżuazję miejską, zwiększył budżety oświaty i opieki społecznej. W rezultacie tego socjalistyczny samorząd naraził się na silne ataki zarówno ze strony Narodowej Demokracji jak też ze strony władz sanacyjnych.

Po rozłamie w PPS w 1928 r., który z całą ostrością ujawnił się w Lublinie, rządowe władze sanacyjne, mając przygotowaną opinię publiczną przez „Ziemię Lubelską”, która szła w sukurs rządowi, rozwiązały w lutym 1929 r. organa samorządowe i zastąpiły je mianowanym komisarzem. Doprowadziło to do kresu istnienia samorządu lubelskiego, opartego na demokratycznych podstawach.

tycznych i ilościowych w ekonomii. Tylko analiza jakościowa pozwala na uchwycenie istoty zjawisk ekonomicznych. Aby uzyskać całościowy obraz życia gospodarczego nie można rezygnować z badań o charakterze konkretnym, empiryczno-ustylitarnym, rezultatem których jest kwantyfikacja tych zjawisk.

Wśród niektórych ekonomistów istnieje przekonanie, że przyczyną małej wartości poznawczej nauk ekonomicznych w Polsce jest niedostateczna instrumentalność badań. Stąd właśnie pewne próby traktowania ekonomii li tylko jako box of tools (skrzynki z narzędziami), a więc pragmatystycznie. Ten sam motyw jest źródłem określonych poczynań w zakresie transformacji ekonomii z socjologii życia gospodarczego, czyli nauki o poczynaniach i skutkach zjawisk społeczno-ekonomicznych w naukę o celach i środkach, a więc w prakseologię ekonomiczną. W takim ujęciu przedmiotem ekonomii stają się dociekania, jak w warunkach różnorodności (wielości) alternatywnych celów i ograniczonej ilości środków ich realizacji dysponować nimi, aby uzyskać maksymalny efekt. Niektóre modele ekonometryczne zawierają skomplikowaną symbolikę matematyczną zatracając swój genetyczny związek z obiektywną rzeczywistością ekonomiczną i stają się immunizowane na konkretne przejawy życia gospodarczego. Stąd też i ograniczona ich wartość zarówno poznawcza jak i praktyczna.

Ekonomia jako nauka par excellence społeczna powinna kształtować postępowe stosunki społeczne i świadomie kierować rozwojem ekonomicznym w warunkach organizowanego przyspieszenia. Parafrazując jedenastą tezę Marksa o Feuerbachu należy stwierdzić, że ekonomistę rozmaluje tylko interespretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić. Jest to jednocześnie sformułowanie prometejskiej roli ekonomistów i nauk ekonomicznych w socjalistycznym społeczeństwie. „W nauce nie ma drugich bitych — pisał Karol Marks — i ci tylko zdołają wdrzeć się na jej świetlane szczyty, których nie odstraszy trud wspinania się po urwistych ścieżkach”.

Romuald Poliški

**B**IURO PTTK przy rynku w Kazimierzu nie jest duże, ale gustownie urządzone i na pierwszy rzut oka bogato zaopatrzone w różne informatorzy i foldery. Biorę jeden z nich — „Polska — Poland camping” — i własnym oczom nie wierzę. Chwalimy się oto przed zagranicznymi turystami posiadaniem „aż” 48 campingów (w tym dwoma w województwie lubelskim — w Kazimierzu i Terespolu). Czyżbyśmy mieli rzeczywiście tak ubogą bazę turystyczną? Okazuje się, że folder został wydrukowany jeszcze w 1962 roku. Nowszemu nie ma, a ile rzeczywiście jest w chwili obecnej campingów, nikt nie wie.

Jadę do schroniska PTTK w starym spichrzu nad Wisłą. Sezon turystyczny w pełni, a tymczasem droga dojazdowa to więcej niż obraz nędzy i rozpaczy. Rozkopana, pełna dziur i błota. Kładziono jakieś instalacje, wykop zasypało niedbale niszcząc przy okazji kocię lby na całej szerokości jezdni.

# Pustynie i puszcz turystyki

Jerzy Dostatni

Sam dom turystyczny też nieczynny. Remont, który miał się zakończyć w marcu, jeszcze trwa. Równocześnie trwa generalny remont położonej obok willi (Sopoćki), który to remont miał być ukończony jeszcze w lipcu ubiegłego roku. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Inżynierijne z Zemborzyca, Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane Gospodarki Komunalnej z Puław oraz lubelskie „Drewno” mają w pięcie zarówno własne harmonogramy jak i cudze potrzeby.

To nie koniec utrapień dla mimo wszystko przybywających tu turystów. Gdy jakaś grupa zechce zwiedzić nie zakłady gastronomiczne, ale miasto i jego okolice, zwraca się do PTTK o przewodnika. W rejestrze jest ich 18, w praktyce osiągalni są tylko po południu, bo zawód przewodnika u nas nie istnieje, ludzie pracują w rozmaitych instytucjach, przewodnictwo traktują jako zajęcie dodatkowe na okres sezonu. Cała znajomość języków obcych ogranicza się do jednego starszego pana, znającego język rosyjski. Francuzi, Anglicy, Niemcy i inni niech się martwią sami — po co przyjeżdżają do tej perły renesansu i zwracają ludziom głowę? Bez dolarów czy funtów też można żyć w naszym kraju...

Dom wycieczkowy PTTK w Puławach mieści się w murowanym budynku dawnego hotelu robotniczego Azotów. Lokalizacja ładna, w środku czysto i przyjemnie, niemal wszystkie wygody. Obiekt ma kategorię drugą, a na cenniku czytamy, że apartament kosztuje od 288 do 432 złotych za jedną dobę. Phi, czyżby Puławę czekały na Du Ponta, Forda, Rockefellera lub któregoś z (przedwojennych) Radziwiłłów?

Wielokrotne próby dowiedzenia się, czy i jak często ktoś korzysta z tych apartamentów, nie dają rezultatu. No tak, niektórzy działacze PTTK (raczej szczebla centralnego) korzystają z 80-procentowej zniżki...

W najbliższą niedzielę, 21 maja byłem w lubelskim Cannes, czyli Zemborzycach. Przez ten niby ośrodek wypoczynkowy przewinęło się tego dnia 18 tysięcy osób. To ma być wypoczynek? Raczej makabra.

Oto kilka tylko obrazków naszej rzeczywistości turystycznej — krajoznawczej. I — co chyba najdziwniejsze — nie do PTTK mam największe pretensje. Bo przecież pierwsze skrzypce w turystyce powinien grać Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki ze swoimi agendami wojewódzkimi i powiatowymi. Tymczasem lubelski WKKFIT, wyposażony w różne uprawnienia, budżet i aparat etatowy — jak przystało na urząd państwowy — takiej roli jednak nie odgrywa. Wystarczy jeden dowód — niezwykle uboga, a w swoim ubóstwie dość prymitywna baza turystyczna. Przecież na dobrą sprawę ani Roztocze, ani okolice Zwierzynca, ani Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie, ani okolice Białej Podlaskiej nie posiadają chociażby jedno-

go ogólnie dostępnego i nowoczesnego ośrodka turystyki.

Lubelski Okręg PTTK w styczniu będzie obchodził 75-lecie powstania. Ładny jubileusz, niemałe zasługi w przeszłości, ale liczy się przede wszystkim aktualna działalność. Jest ona niezwykle wszechstronna: organizowanie wszelkiego rodzaju turystyki (pieszej, motorowej, górskiej, kajakarskiej, narciarskiej, kolarskiej, żeglarskiej, podwodnej) — krajowej i zagranicznej, obsługa napływającego rdcu turystycznego, szkolenie (na zasadzie wyłączności) przewodników oraz zakładowych organizatorów turystyki, współpraca w odbudowie zabytków, ochrona środowiska człowieka, budowanie i prowadzenie baz noclegowej i gastronomicznej, wypożyczanie sprzętu turystycznego, sprzedaż pamiątek, oznaczanie szlaków turystycznych, działalność wydawnicza i coś tam jeszcze — a w konsekwencji także działalność inwestycyjna i remontowa, prowadzona coraz częściej przez własne grupy budowlane.

Wartość działalności usługowej samego tylko Okręgu w ciągu roku obraca się w granicach 5 milionów złotych, a wartość majątku trwałego i ruchomego sięga 15 mln zł. Do tego sprawy związane z istnieniem 20 tys. członków, 21 oddziałów, 18 biur obsługi ruchu turystycznego z obrotami w wysokości 32 mln zł itd., itd.

Gdyby to wszystko znalazło się w ramach działalności jakiegoś przedsiębiorstwa państwowego, znaleźlibyśmy pewnie różne uzasadnienia, aby to przedsiębiorstwo podzielić na dwa, potem cztery, a wreszcie i więcej samodzielnych przedsiębiorstw — każde z własnym aparatem administracyjnym i wszystkimi niezbędnymi biurokracją przyległościami. A tymczasem PTTK jest organizacją społeczną i działa przede wszystkim w oparciu o aktywność społeczny, zgrupowany nie tylko we władzach, ale przede wszystkim w licznych komisjach problemowych, honorowych strażników przyrody czy równie honorowych organizatorów różnego rodzaju imprez.

Prawda, że obowiązków, które spadły na PTTK, nikt za biurkiem nie wymyślił. Narastały one latami, ródziły się z potrzeb, odczuwanych przez entuzjastów, a nie dostrzeganych oficjalnie, co doprowadziło do tego, że przez jakiś czas turystykę i krajoznawstwo uważano za zajęcie ludzi nieco zwirowanych i raczej podejrzanych, a nie za ważną gałąź gospodarki i konieczność zapewnienia ludziom chociażby podstawowych warunków wypoczynku. W tej całkiem jednoznacznej sytuacji urzędnicy, oplacani oficjalnie z kasy państwowej, nie mogli się dobrovolnie wypisywać na listę ludzi podejrzanych — i turystykę się nie zajmowali, albo tylko na tyle, aby postawić kilka fajek na jakimś sprawozdanku.

No więc do coraz różniejszych spraw jakoś związanych z turystyką zabrał się entuzjasta — społecznicy. Nie zawsze im to wychodziło najlepiej, ale też trudno powiedzieć, aby ktokolwiek posypywał im drogę różami. Bywało natomiast, że kółkami. Wcale nie tak dawno przecież prowadzono zakulisowo akcję, aby po 22 latach władania odbudowanym pałacem Czartoryskich w Lublinie wysłać stamtąd wojewódzkie i lubelskie władze PTTK, nie w zamian nie dając. Jak na razie, sprawa ucicha, ale czy znów nie odżyje, nikt nie może zagwarantować.

Przykład Chełma też może okazać się zaraźliwy. Z okazji kolejnego remontu gmachu Muzeum trzeba było czasowo przenieść biura Zarządu Powiatowego PTTK. Dano lokal obskurny, ciasny; a na dom noclegowy nory, nie odpowiadające prymitywnym warunkom sanitarnym. Odnowiony lokal w Muzeum powiększył stan władania tej placówki, zapewne słusznie, ale o nowym, jako tako przyzwoitym pomieszczeniu dla PTTK, nikt nie chciał nawet słu-



Fot. J. Mendychowski

chać. Dosłownie. Bo gdy prezes oddziału zaczął się zbyt natarczywie upominać, dano mu do zrozumienia, że przede wszystkim jest urzędnikiem rady narodowej i nie ma prawa domagać się od tej rady niczego, czego ona dać nie chce. Nie wiem dokładnie jak było dalej, ludzie znacząco milkną, ale faktem jest, że prezes zrezygnował z funkcji społecznej na rzecz urzędniczej pensji. A że z oczywistą stratą dla turystyki — to już inna sprawa.

W Kazimierzu poradono sobie inaczej. Tamtejszy dom turystyczny PTTK zyskał już sobie opinię dobrze prowadzonej i dobrze karmiącej placówki. Ponieważ nie mógł zaspokoić potrzeb, PTTK zaczęło się starać o przydział tzw. willi Sopoćki. Sprawa ciągnęła się bardzo długo i niepotrzebnie stracono dużo czasu. Gdy wreszcie PTTK wygrało, puławski Powiatowy Ośrodek Sportu i Turystyki zabrał się do budowy tuż obok własnego obiektu. No i będziemy mieli dwóch kierowników, podwójny aparat administracyjny, dwie kotłownie, dwie stołówki itd. A potem się dziwimy, że turystyka na całym świecie jest tak bardzo dochodowa, tylko u nas jakoś mniej.

W roku ubiegłym oddział tomaszowski PTTK opracował dokumentację na oznakowanie 147 km tras turystycznych. Potem przeleżała się ona pół roku w GKKFIT, po czym wróciła bez jednej poprawki. Wraz z nią zlecenie na wykonanie roboty. Sęk w tym, że oznakowanie według tej samej dokumentacji miało kosztować 22 tys. zł, a zatwierdzający dokumentację GKKFIT dał w roku ubiegłym tylko 5 tys. zł, w maju br. 7 tys. zł i jeżeli dalej sprawa będzie posuwała się w tym tempie, to trasy zaczęły służyć turystom dopiero w 1975 roku. Ale to będzie jeszcze w bieżącej pięcioletce — zauważył ktoś celnie a złośliwie.

Zresztą sprawiedliwie trzeba powiedzieć, że w samym PTTK nie wszystko idzie jak po maśle. O kilku sprawach było już na początku, na inne też trzeba zwrócić uwagę. Na zjeździe oddziału zamojskiego jeszcze w 1970 roku podjęto uchwałę o podjęciu produkcji pamiątek w oparciu o miejscowe liceum sztuk plastycznych, w którym właśnie uruchomiono specjalny kierunek pamiętnikarski. Uchwałę z entuzjazmem zaakceptował Zarząd Okręgu, z uznaniem Zarząd Główny. Trzeba tu dodać, że PTTK posiada własne przedsiębiorstwo wyrabiające pamiątki i to aż w siedmiu wytwórniach. W żadnej jednak nie produkuje się pamiątek związanych tematycznie z regionem Lubelszczyzny. No i rzecz jasna — żadna nie produkuje do dzisiaj. Dlaczego i uchwała i prowadzone po niej rozmowy zakończyły się niczym, nikt w Lublinie i w Zamościu nie wie.

Krzykniemy na całą Polskę, a nawet staramy się, aby nasz głos dotarł do turystów zagranicznych: zwiedzajcie piękną Lubelszczyznę, zwiedzajcie malownicze Roztocze, przyjeżdżajcie wypoczywać na Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie! Już nie mówię o bardzo skromnej bazie, ale o tym, że nakłady przewodników po województwie i Roztoczu są już dawno wyczerpane, a po Pojezierzu w ogóle jeszcze nie istnieje. PTTK ogląda się tu na wydawnictwo „Sport i Turystyka”, wydawnictwo na Wojewódzki Ośrodek Informacji i Turystyki, WOIT na Wydawnictwo Lubelskie — a przewodników jak nie ma tak nie ma. I kiedy będą — znów nikt nie wie.

W województwie 1500 nauczycieli ma oficjalnie przyznane kwalifikacje przewodników szkolnych. Pięknie. Ale nieoficjalnie od kilku znających sprawę osób słyszałem na ucho, że kuratorium, a częściej jeszcze powiatowe inspektoraty oświaty, domagają się, aby egzaminy na tych przewodników ułatwić, łagodząc wymagania. Zdarzają się nawet sugestie: taki dobry nauczyciel, a wy się go czepiacie o jakieś głupstwo... I bywa, że przestają się czepiać. A potem widzimy wycieczki szkolne pędzące na leb i szyję, by „zaliczyć” nadmiernie wydłużone trasy, zmodernizowaną, zakatarzoną, z oparzeniami nóg młodzież.

Koła PTTK istnieją tylko w 170 zakładach pracy, co należy uznać za stan bardzo niezadowolający. I nie zapowiada się na szybkie polepszenie, jeżeli w ciągu czterech lat przybyło zaledwie 40 kół, liczących razem 1100 członków. A organizowanych przez zakłady pracy wycieczek jest coraz więcej, z czego wynika, że organizuje się je w tzw. własnym zakresie, co w praktyce ogranicza się do podstawienia autobusu, wyjazdu na pierwszą z brzegu zieloną trawkę i wypicia przez część uczestników troskliwie zabranych zapasów alkoholowych. Zdarza się to również i w wycieczkach kierowanych przez zakładowych organizatorów turystyki, a nie zdarzył się jeszcze wypadek, aby organizatorowi takiej wycieczki odebrano uprawnień.

Wymieniam tyle mankamentów, ale nie znaczy to, że nie doceniam tego wszystkiego, co dotychczas PTTK zrobiło i co zamierza jeszcze zrobić. Czy w ogóle moglibyśmy mówić o turystyce w naszym województwie, gdyby nie PTTK, jego baza noclegowa obejmująca 1500 łóżek, gastronomiczna z 5 stołówkami, wyszkoleni przez tę organizację przewodnicy, organizatorzy, gdyby nie imprezy, które co roku gromadzą kilkadziesiąt tysięcy osób, współudział w ochronie zabytków, przyrody i — co chyba najważniejsze — w ochronie ludzkiego zdrowia?

Gdyby nie PTTK stan naszej turystyki i jej pokrewnych dziedzin byłby niewątpliwie znacznie gorszy niż jest obecnie, chociaż do zachęt i tak jeszcze daleko. Wydaje się jednak, że wielostronna, skomplikowana struktura jak i wielokierunkowość zadań przerosły możliwości, jakich spełnienia można wymagać od organizacji społecznej. Boję się postulować, aby np. przesunąć do innego pionu gastronomicznej bazy noclegową. Zresztą to jest stosunkowo łatwe, ale trzeba pamiętać, że te właśnie dziedziny dają organizacji wcale poważny dochód, przeznaczony na inne, bardziej profilowe działania. Mam tu na myśli przede wszystkim społeczne organizowanie ruchu turystycznego ludzi pracy i młodzieży szkolnej, wyrabianie — zwłaszcza w młodym pokoleniu — nawyku turystyki, umiłowania krajobrazu, a przez to samo codzienne, praktyczne działanie na rzecz ochrony środowiska naturalnego, w którym człowiek żyje i pracuje. A w tych dziedzinach jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia i można wątpić, czy rozwiążemy je jakkolwiek drogą administracyjną. Pozostaje działanie społeczne, ale w granicach możliwości społecznych.



Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesław Kazanecki

## Wspólna studnia

## Tortura

Zasiada wokół wiele osób  
Machają nogami  
Zapalone gazety hurkocą w dół  
Ktoś jeden mówi  
kiwa się ogni  
Stężeł w uwadze  
poślaki mocniej  
w krawędź wpili  
Pod stopami  
głęboko  
Ktoś strzepnie papierosa  
Ktoś wstanie i ucieknie  
Odwroć się zobacz  
biegnie i gubi chodaki  
to on to on!  
Nic się nie stało  
nadal siedzą  
nad dziurą

jakże będziemy na tej ziemi  
hodować nasze ciała  
w donicach obuwia  
rozżarzone żagwie dnia  
skwierczą w żrenicach  
i ból jest dorodnym potomkiem  
naszego udziału w świetle  
jak wzrokiem sięgnąć  
wszędzie  
skórzane pustynie dłoni  
jakże się będą na tej ziemi  
rodziły nasze sny  
z jałowych brzuchów neonów  
w oczach człowieka lek  
w dłoniach człowieka chleb  
samotny wyścig krwi  
z czasu zatrutą strzałą

Janusz Karcz

## Odkrycie

Jednym z najbardziej sensacyjnych odkryć  
współczesnych  
okazał się człowiek  
sprawą zajęto się poważnie  
przy pomocy specjalnie opracowanych metod  
niedawno dokopano się w jego  
świadomości  
olbrzymich pokładów  
bliżej nieokreślonej materii  
w tym celu przedsięwzięto środki  
po eksploatacji  
zasypie się go ziemią

Waldemar Michalski

## Możliwości to nie wszystko

Jest miejsce gdzie tylko purpura i alabaster  
są świtanie królewskie epizody  
i opłotki – tu jak wszędzie możliwa  
śmierć pospolita i przesłuchanie anioła  
Są świątynie poezji i domy uciechy  
są rzeczy sprawy i ludzie  
praktycznie rzecz biorąc jest wszystko  
czy naprawdę brak tylko odważnych.

poetom głoszącym „nowy romantyzm”

O krawędź stołu  
przelamano grzbiet ryby  
odwrócili papierowe twarze  
i wołanie przeszło w skowyt  
tańczących gryzoni  
zamknięty w skorupę orzecha  
w cztery światła strony pyta  
dlaczego nie ze mną  
dlaczego nie we mnie  
dlaczego nie o mnie  
Jeszcze wczoraj byłaś mu sinksem  
dziś widzę karmioną sianem

Stanisław Piotr Gaszyński

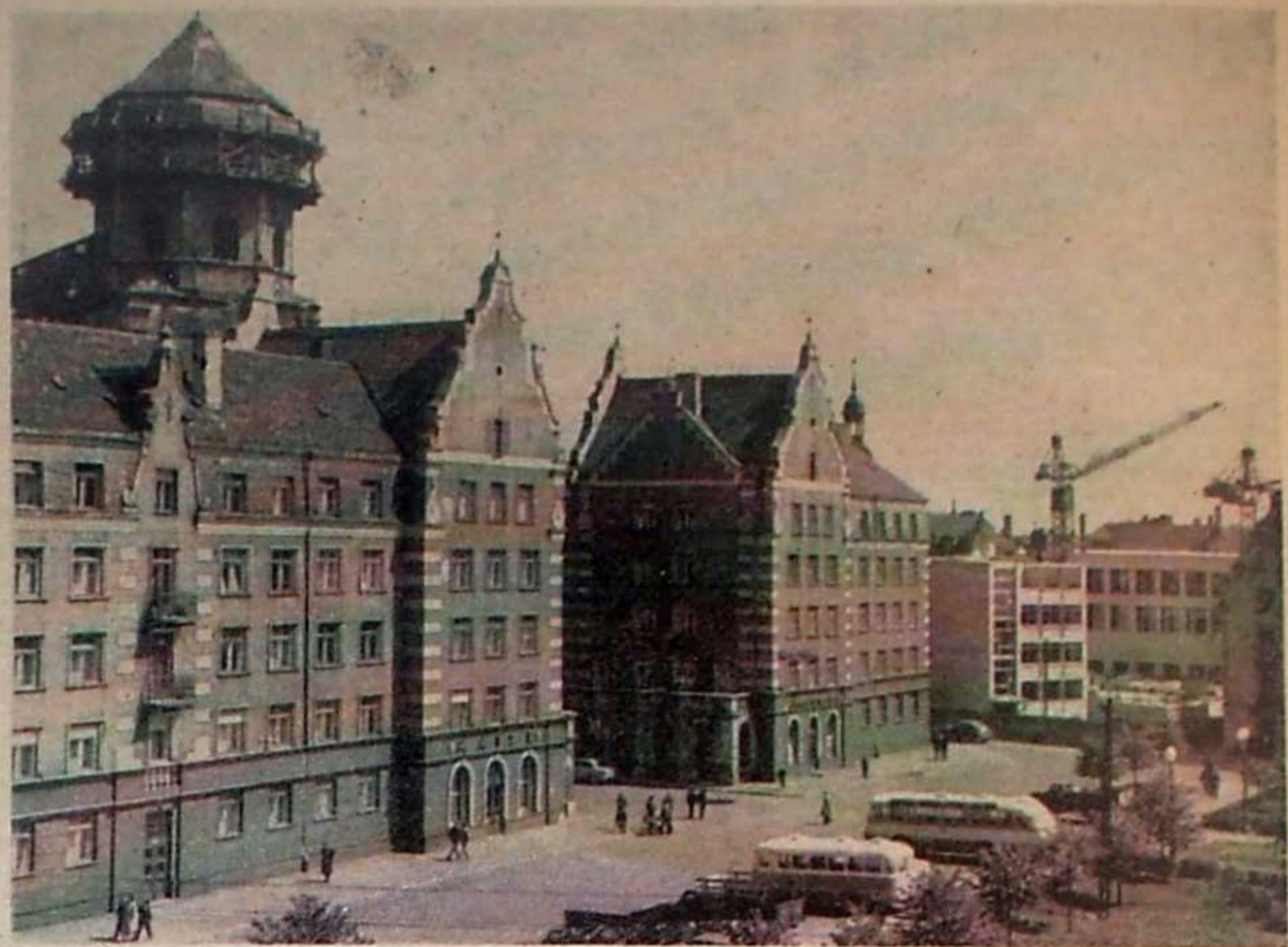
wędrowny derwisz  
zakuty w dyby prywatnych wspomnień  
obleczone w wojskowy czerep wad narodowych  
z prometeuszem przyklejonym do pleców  
(zamiast krzyża lub worka rupieci)  
niosę światło słowiańskich oczu  
w pierwszą lepszą ciemność  
wędrowny derwisz  
zmarły w sobie (z chłodu)  
pod kamieniami zabliznionych myśli  
pod zjezoną sierścią tu bywałców  
w łoszmarnych oazach grzechu  
szukam  
ludzi przeznaczonych sensów

Andrzej W. Guzek

## Lekcja

A więc to tylko sztuczny  
zimny ogień – powiadasz – ten krzew gorejący jak wysoka pochodnia  
jak płonąca  
rozczapierzona dłoń uniesiona nad głową?  
Czy jest to może coś zupełnie innego?  
Jakaś tajemnica ze zbutwiałego sztabu historii  
Sekret na miarę do dziś nie odczytanych  
starych szyfrów?  
Lecz przecież tratwą skleconą z kilku najprostszych słów  
wciąż cała powracają  
spozą tej dobrrotliwie oszalałej Lety,  
a w mroź zmierną osłonięci tylko lśniącą tarczą skóry.

To ich  
kiedyś niezdamnych  
z dziurawej krypy wciąż bezlitośnie rzucono na najgłębszą wodę.  
Tak się – pamiętaj – ze zduszonymi ustami – rozpoczyna naukę pływania.



Ryga. Plac przed budynkiem Instytutu Politechnicznego.

# Ryskie polonica

Zygmunt Dziuba

**L**OTYSZE chlubią się nie tylko jakże bogatym dorobkiem w rozwoju przemysłu, lecz także pięknym swego kraju. Każdego gościa, który zawita do nich choćby na kilka dni, chętnie wiozą do lotewskiej Szwajcarii, jak zwą rejon Siguldy, przez który przepływa rzeka Gałja. Jej wody są kryształowo czyste, takie pozostaną. Na północ od Rygi powstaje bowiem park narodowy. Rzeka wiję się między lasami, dookoła pełno dębów, olch, leszczyn i brzoź. Niektóre wzniesienia podmywane Gałją odsoniły skały piaskowca, przetykane czerwoną nicią tlenku żelaza. Nad brzegami Gałji ukształtowały się grotty, a z każdą wiąże się jakaś legenda. Tak jest też z grota Gutmana. Przypomina ona, że Polacy nie zawsze przybywali na Łotwę

w charakterze przyjaciół mieszkańców tej ziemi. Przed wiekami Polak Jakubowski zakochał się do szaleństwa w pięknej Rozie. Dziewczyna kochała jednak swego rodaka. Złoty cudzoziemca stawały się coraz bardziej natargiwe, wielbiciel zaczął sięgać nawet do pogroźek, żeby skłonić Rozę do uległości. Kiedy dziewczyna nie widziała już szans obrony, zaprosiła Jakubowskiego do grotty. Tam oświadczyła zalotnikowi, że spełni każde jego życzenie, przedtem jednak ma do niego jedną prośbę. Chce, by usiłował uśmiercić ją mieczem. Wtedy przekonała się, że dziewczyna zna tajemniczy balsam, który po nasmarowaniu się nim chroni każdego niczym pancierz. Oszalała z namiętności Jakubowski spełnił życzenie dziewczyny, ona zaś padła nieżywa u jego stóp.

Tę legendę teraz opowiada się Polakom z uśmiechem, bo już od daw-

na są oni uważani za wypróbowanych przyjaciół Lotyszów. Przyjaźń tę kształtowała przez dziesiątki lat tamtejsza Polonia, umocnił okres minionej wojny światowej, kiedy to Polacy tradycyjnym zwyczajem „za waszą i naszą wolność” nie żalowali także na Łotwie swej krwi, a nawet życia, w walce z hitlerowskim najeźdźcą.

Przebywając niedawno w Lotewskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, natknąłem się tam na liczne ślady polskości, zacieśniając się współpracę między naszymi narodami.

Jeden z dziennikarzy „Cynil” — organu KC KP Łotwy — zaprosił mnie do swego mieszkania. Od pani domu na powitanie usłyszałem polskie „Dzień dobry”. W pierwszej chwili sądziłem, że chodzi o zwykły gest kurtuazyjny. Szybko jednak zo-

# MORSKIE ZWIĄZKI LUBLINA

Dokończenie ze str. 1

ministerstwa żeglugi; admirałowie brytyjska czy szwedzka powstały znacznie później.

Rada miejska w Gdańsku, obawiając się ograniczeń żeglugowych i spadku zysków z handlu zamorskiego, wystąpiła przeciwko stacjonowaniu floty królewskiej w Gdańsku, żądając przeniesienia jej do Pucka. W czerwcu 1568 r. doszło do zatargu z polskimi marynarzami i 11 z nich zostało straconych w Gdańsku pod zarzutem kradzieży kur i pobicia chłopów. W odpowiedzi na tę samowolę król zapowiedział surowe ukaranie rady gdańskiej. W obawie przed następstwami przybyła na dwór królewski delegacja rajców gdańskich, lecz Zygmunt August zbesztiał posłów i nie chciał ich wysłuchać, zapowiadając wezwanie przed sąd sejmowy.

Delegacja rady gdańskiej wróciła więc z niczym i sprawa zawisła aż do posiedzenia sejmu, które miało odbyć się wiosną 1569 r. w Lublinie. Dodajmy na marginesie, że o skuteczności działań polskich okrętów przeciw żegludze do nieprzyjacielskich portów może świadczyć fakt, że w r. 1569 królowa angielska Elżbieta I prosiła króla polskiego o wystawienie statkom angielskim patentu na swobodny przepływ przez Bałtyk, co było uznaniem polskiego panowania na morzu.

Sejm Unii Lubelskiej zasługuje też na miano wielkiego sejmu morskiego, albowiem na żadnym innym sejmie polskim nie rozważano tak wiele, tak głęboko i wszechstronnie spraw związanych z morzem. Powzięto wiele doniosłych postanowień, część z nich ogłaszając dopiero na sejmie warszawskim w r. 1570, który był przedłużeniem i uwieńczeniem sejmu lubelskiego w zakresie zagadnień morskich. Jeszcze przed otwarciem obrad 2 lutego 1569 r. przybyła do Lublina delegacja Gdańska z burmistrzem Kleefeldem, niedawnym komisarzem królewskim, a nadal burgrabią.

Ale wielkim i pierwszym tego rodzaju wydarzeniem było przybycie do Lublina 9 marca strażników morskich polskiej floty wojennej, którzy licznie zjawili się w tym odległym od morza mieście, w pięknych jednolitych mundurach marynarskich, zapewne błękitnej lub granatowej barwy. Ich przemarsz przez ulice wzbudził sensację wśród mieszkańców, posłów i licznie przybyłej szlachty z całej Polski, a także wśród obcych dyplomatów.

Król bardzo uradował się przybyciem marynarzy, a doceniając ich zasługi i odniesione sukcesy, wyznaczył im na 18 marca uroczystą audiencję na zamku odmawiając zarazem przyjęcia delegacji rady gdańskiej, co było poniżeniem dla pyszałkowatych burmistrzów i rajców. W dowód uznania dla działalności floty, król nadał szlachectwo 4 kapitanom, a to — Michałowi Pigenowi, Janowi Teselerowi, Michałowi Staroście i Erazmowi Gen-

trichsenowi. Po przeglądzie marynarzy, król na znak wyjątkowej wdzięczności każdemu podał rękę, co było rzadkim podówczas przejawem szczególnej łaskawości królewskiej. W imieniu marynarzy przewodniczący Komisji Morskiej, Jan Kostka, jako naczelny dowódca i admirał floty przekazał królowi w podarunku 10 pięknych rumaków.

Trzeba podkreślić, że nobilitacja tych kapitanów na jednym sejmie była dowodem szczególnego uznania i dla nich i dla całej floty, gdyż wówczas nadawano szlachectwo tylko za wyjątkowe zasługi; w ciągu 35 lat swego panowania Zygmunt August nobilitował zaledwie 60 osób. Na sejmie lubelskim król i senatorowie uczcili też morską działalność walecznego dowódcy kaprów inflanckich, Wacława Wąsowicza, o którym władca powiedział, że Wąsowicz zasłużył się nam najlepiej w tych zadaniach, które miał powierzone.

W listach morskich do kapitanów okrętów król wyjaśniał we wstępie, że wysyłając flotę na Bałtyk kieruje się tym, aby nieprzyjaciele Polski nie wzmocnili się i temu pragnąc zapobiec uznaliśmy, że potrzebne przyjąć do naszej służby wiernego i nam miłego... z jego okrętem i ludem wojskowym i temu naszemu służyć, okrętem i ich wojownikom dajemy niniejszym pełną moc i władzę: dotąd jak długo trwać będzie wojna, napadać, wstrzymać i ścigać ogniem i mieczem według możliwości, naszego śmiertelnego ucrapa i jego pomocników na wodzie i na lądzie.

Celem powiadomienia wszystkich krajów o potęgę również na morzu, Zygmunt August ogłosił 6 kwietnia w Lublinie orędzie o polskiej flocie wojennej, skierowane do wszystkich władców, królów, książąt i hrabiów chrześcijańskich, świeckich i duchownych, wyjaśniając cel i zadania tej floty i ostrzegając, że będzie ona zwalczając kupców dostarczających przybory wojenne Szwedom i Moskwie.

Tego samego 18 marca, kiedy król przyjmował, honorował i nobilitował marynarzy swej floty, sejm lubelski przystąpił do rozpatrywania tzw. wielkiej sprawy gdańszczyzn.



domu — z pochodzenia Polka — posługuje się piękną polszczyzną. Jest też zagorzałą czytelniczką polskich czasopism przeznaczonych dla kobiet, zwłaszcza „Kobiety i Życia”. Dzięki śledzeniu prasy polskiej zna nawet wszystkie neologizmy. Przyznam się, że z dużym podziwieniem brałem do ręki dość podniszczony już podręcznik szkolny w języku polskim. Na nim pani domu uczyła się, będąc dziewczynką, języka polskiego. Sam fakt przechowywania z takim pietysmem podręcznika ma swoją wymowę. Nie jest to w tym domu jedyna polska książka.

W ryskiej Gramatnicy, księgarni międzynarodowej, znajduje się spory wybór polskiej literatury. Książki pisarzy o nazwiskach uznanych znikają z półek błyskawicznie, powiększając prywatne zbiory. Wydaje mi się jednak, że eksporterzy polskich książek powinni pamiętać o dużym zainteresowaniu naszą literaturą za granicą i wzmocnić troskę o jak najlepszy wybór wysyłanych pozycji. Na półkach Gramatnicy widziałem bowiem książki, które u nas należą wręcz do cegieł. Jaki sens ma ich eksport?

W ryskiej wytwórni wódek, słynącej przede wszystkim z produkcji balsamu, napitku wyróżnionego 302 medalami i dyplomami w różnych częściach świata za wysoką jakość, spotkałem Polaka. Zwrócił mi na niego uwagę zastępca dyrektora wytwórni podkreślając, że jest to nie tylko jeden z najdłuższych pracujących w zakładzie pracowników, lecz także jeden z najlepszych. Starszy pan nigdy nie był w Polsce. Z zaskakaniem śledzi jednak wydarzenia w kraju swoich przodków, choć mocno wrośli w ziemię lotewską. Dobrze się tam czuje, chwali stosunki w zakładzie.

Równie przypadkowe spotkanie nastąpiło z Polakiem, pracującym w miejskim przedsiębiorstwie komunikacyjnym. Jak przystało na taksówkarza, szybko zorientował się, że pasażer jest cudzoziemcem, a kiedy dowiedział się, że jestem z Polski, zaczął zasypywać mnie listną lawiną pytań. Choć z dziada pradziada osiadły na Lotwie, bardzo interesował się krajem swych przodków, który zna tylko z opowiadań.

W Lotewskiej SRR spotykałem nie tylko Polaków, lecz także polskie ślady. W towarzystwie starszego inżyniera Marii Gorere zwiedzałem w Rydze Kombinat Maksla (sztuki). Jak na nasze warunki jest to niezwykła instytucja. Zatrudnia ona zarówno twórców jak i rzemieślników-specjalistów. Zależnie od własnej woli artysta może coś zaprojektować i zająć się wykonaniem tego przedmiotu, może jednak zadowolony się tylko projektowaniem. Wtedy wkraczają do akcji rzemieślnicy-specjaliści, absolwenci średnich szkół zawodowych. Dotyczy to głównie tkactwa artystycznego (praca na drewnianych krosnach), produkcji lalek w strojach ludowych, wyrobów ze skóry itp. Wszystkie produkty opuszczające kombinat, zresztą w

bardzo krótkich seriach, są rękodziełem.

W dziale metaloplastyki Maria Gorere zaprowadziła mnie natychmiast do Arnolds'a Jansons'a. Ten szczerzy mężczyzna po czterdziestce podjął się wykonania wielu ozdób do filmu „Potop”: orderów, szpad, buław... Natychmiast przerwał pracę i sięgnął po teczkę ze szkicami. Opowiadał o swojej wizycie w Polsce, bardzo szczegółowych studiach ekonomicznych muzealnych. A wszystko uzupełniał pokazem szkiców sporządzonych z zachowanych obrazów czy reprodukcji. Oto na przykład Order Białego Runa, noszony przez króla szwedzkiego, który artysta ma zrekonstruować. Prezentując szkice — istne arcydzieła wykonane w kolorach — Jansons obrazował trudności, na jakie się natknął. Ten sam order różnie się prezentuje w szczegółach na zachowanych reprodukcjach. Plastyk nie szczędził czasu, by zrekonstruować order jak najwierniej. Kiedy wreszcie zobaczyliśmy „Potop” na ekranach, warto będzie pamiętać także o trudzie, jaki włożył w ścisłość historyczną drobnych elementów filmu także lotewski twórca.

W Kombincacie Maksla miałem jeszcze jedno spotkanie z Polką, ściślej mówiąc z Polką No, w stwierdzeniu tym — przyznając — jest nieco przesady, bo proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy w pracowni rzeźbiarskiej Ilgi Zandberg natknąłem się na popiersie... Poli Raksy. Polska aktorka, która w Związku Radzieckim zdobyła ogromną popularność po wyświetleniu tam serialu filmowego „Cztery pan-cerni i pies”, została przewidziana do obsady jednego z filmów radzieckich. Pewna scena wymagała, by salon, w którym rozgrywa się akcja, ozdobiony był popiersiami bohaterki filmu. Wykonanie glinianego popiersia polskiej aktorki zlecono lotewskiej rzeźbiarce, która znakomicie wywiązała się z powierzonych zadań.

Odlatując z Rygi poznałem w samolocie aktora, który w stolicy LSRR grał rolę Chopina w sztuce J. Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”. Na premierze — opowiadał aktor — był autor utworu. Ryskie przedstawienie „Lato” ocenili jako najlepsze ze wszystkich oglądanych. Nie miałem szczęścia obejrzeć ryskiej inscenizacji. Po długim okresie wystawiania sztuka zeszła już z repertuaru. Aktor opowiadał swe wrażenia z Warszawy, którą odwiedził. Zachwycał się polskimi aktorami i przedstawieniami, był nawet w jednym z kabaretów, gdzie oglądał strip-tease, „no aktorka była oczęł plocza” — dokończył.

W ryskich polonicach odzwierciedla się cała historia naszych wzajemnych stosunków. Z każdym dniem będzie ich coraz więcej. Nieustannie bowiem zacieśnia się współpraca naszego kraju z bratnią, radziecką Lotwą.

# O Chagallu i życiu sztuki

ZBIERAM wszystko z wyjątkiem pieniędzy — mówi pan Sture Andersson, wysoki, barczysty Szwed, o twarzy aż nadto mieszczańskiej w polskich wyobrażeniach o wyglądzie Skandynawów, idealnie posiwiały.

— No tak, ale do tego potrzebne są właśnie pieniądze — odpowiadam pamiętając, że Sture Andersson był niegdyś bankierem.

W drugiej połowie maja Andersson, wytrwały i słynny kolekcjoner dzieł sztuki, przebywał w Polsce z okazji otwarcia w warszawskim Muzeum Narodowym wystawy twórczości graficznej Marc'a Chagalla. Pierwszy w naszym kraju pokaz twórczości tego artysty był możliwy dzięki życzliwości szwedzkiego kolekcjonera, który wypożyczył część swoich zbiorów polskiej instytucji.

— Co pan zgromadził w swoich zbiorach? Malarstwo? Grafiki?

— Moja kolekcja liczy ok. 7 tysięcy eksponatów, są wśród nich dzieła malarstwa, grafiki, rzeźby i sztuki zdobniczej. Pochodzą one z różnych rejonów świata i historii, ze starożytnej Grecji, Dalekiego Wschodu, średniowiecza. Jeśli chodzi o sztukę współczesną, to wspomnę tylko o posiadanych płótnach i grafikach Matisa, Braque'a, Pissara, Modiglianego, Maneta, Chagalla. No cóż, przez pół wieku jeżdżąc po świecie można to i owo zobaczyć, kupić...

— „To i owo” ma wymiar marzeń niejednego muzeum narodowego...

— Jeżdżąc zaś prowadzę coś w rodzaju statystyki, w której notuję wizyty w miastach szczególnie mi bliskich. I tak na przykład w Paryżu byłem 134 razy. Proszę spojrzeć na te notatki z przynurzeniem oka... Jeśli jednak może to kogoś zainteresować, to chciałbym jeszcze dorzucić, że w Polsce jestem po raz drugi, byłem już w waszym kraju w 1938 roku.

— O ile wiem, od wielu lat pozostaje pan w przyjaźni z Chagallem. W jakich okolicznościach poznał pan artystę?

— O Chagallu i jego twórczości dowiedziałem się nieco ponad pół wieku temu w Berlinie, od pewnego dziennikarza. Chagall wystawiał swoje prace w galerii „Der Sturm” w 1914 roku, a osiem lat później starał się je odszukać. W 1923 roku przyjechał do Paryża i tam właśnie spotkałem go po raz pierwszy i od tego momentu datu-

je się nasza bliska znajomość, więcej chyba — przyjaźń. Ostatnio widziałem go w kwietniu tego roku. Fotografie Chagalla, które znajdują się na wystawie w Warszawie, wykonałem właśnie podczas tego ostatniego spotkania.

— Proszę wybaczyć banalność obserwacji, ale przypomniał mi pan, czy ja wiem, marynarza? Postać, granatowa marynarka ze srebrnymi guzikami...

— Doprawdy? Ale to nie moja zasługa, lecz ojca, który był właścicielem i kapitanem statku. Przekazał mi w spadku wygląd i statek, który nie pełni już swej naturalnej roli, a w najbliższym czasie stanie się galerią sztuki. W jego pomieszczeniach mam zamiar urządzić stałą ekspozycję malarstwa i mebli, wydaje mi się, że będzie to rzecz całkiem atrakcyjna. Jeśli już zabaczyliśmy o zbiorach: poza dziełami sztuki — szkoda, że nie może pan zobaczyć mojej porcelany! — posiadam inną kolekcję, a mianowicie 20 tysięcy znaczków pocztowych.

— Czy dzieła sztuki zbiera pan dla siebie, dla najbliższych, wtajemniczonych i wybranych? Czy poza okazjonalnymi wystawami są one dostępne dla publiczności niejako na co dzień?

— Każdy, kto ma ochotę, może obejrzeć zbiory w moim własnym domu i na wystawach, które co pewien czas organizuję. W 1967 roku w rodzinnej Landskronie czynna była na przykład duża ekspozycja Chagalla. Przypuszczam jednak, że szczególnie zainteresuje pana fakt wypożyczenia przeze mnie obrazów i innych dzieł szpitalom, szkołom i instytucjom, przez które przewija się dużo ludzi. Uważam, że znakomitym miejscem wystawowym są banki. Jestem bardzo przywiązany do kolekcji, fascynacji płótnami Goya'a nie wyzwolił przecież chłodna kalkulacja, a trzymanie ich pod kluczem, dla własnej, egoistycznej satysfakcji, byłoby równoznaczne z uśmierceniem obrazu. Dzieło sztuki żyje intensywnie tylko wówczas, jeśli żyje społecznie. Między innymi dlatego właśnie uruchomiłem międzynarodowe towarzystwo sympatyków sztuki, skupiające około 4 tysięcy osób różnych zawodów, mieszkających w obszarze od Tokio i Sydney do północnej Szwecji.

— Czy uważa się pan za kolekcjonera z profesji czy amatorstwa?

— Jestem amatorem, zdecydowanie amatorem.

— Podsuwa mi to pewien komentarz do Chagalla. Mimo studiów artystycznych, poszerzonych podczas pobytu w Paryżu w latach 1910—1914 dzięki kontaktom z malarzką i poetycką awangardą kubistyczną, mimo okresowego pełnienia oficjalnej funkcji komisarza sztuk pięknych w 1917 roku — Chagall reprezentuje postawę amatora sztuki, jeśli pod tym pojęciem rozumiemy związek najczystszy, najbardziej osobisty z malarstwem. Niewiele go w końcu obchodziły aktualne tendencje i boje artystyczne, spowiadał się na płótnach ze swojego dzieciństwa, z wyobrażeń o nim, o życiu, wierzeniach i obyczajach ludzi Witebska, gdzie się urodził...

— Widzi pan, Chagall jest z wycza jnie ludzki.

— Wierzę panu i jego obrazom... Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał — Ireneusz J. Kamiński

Delegacja gdańska, nie przyjęta przez króla, starała się pozyskać poparcie magnatów, a także szlachty, kusząc bogatymi podarkami i rozdając wielkie ilości pomarańczy oraz innych owoców południowych. Ale nie na wiele to się zdało. Wielu szlachciców zażądało co prawda łapczywie pomarańcze, które po raz pierwszy w życiu ujrzeli właśnie w Lublinie, ale postawie musieli wiele razy wysłuchać wrzaskających i poruszających do głębi słów poematu o tragicznych zbrodniach wywołanych przez Tumult gdański. Poemat ten, napisany przez dworzannika króla Zygmunta, Hiszpana Piotra Rojzjusza, który był poetą i przyjaciелеm Jana Kochanowskiego, pojawił się właśnie na sejmie lubelskim. Oprawiony w kolory czerwony i czarny na znak zamordowania marynarzy królewskich i żałoby po nich, a składający się z 64 części, został rozdany senatorom i posłom przybyłym na sejm.

W utworze tym, mającym formę wierszowanego dramatu, duchy straconych w Gdańsku strażników morskich żalą się przed królem na radę gdańską. Autor wskazuje, że gdańska rada przywłaszczała sobie królewskie prawa do morza oraz do otwierania i zamykania żeglugi i portu. W miejsce zburzonego zamku rada nie buduje należnego królowi pałacu, ani stajni, ani spichlerza, tłumacząc się biedą, mimo posiadania bardzo wielu bogactw. Nie wpuszczono też komisarzy królewskich do miasta. Wypominając te wszystkie wystąpienia rady gdańskiej przeciwko władzy królewskiej i opisując przebieg „tumultu” oraz popełnione zbrodnie, duchy straconych marynarzy królewskich domagają się odwetu i kary za przelaną krew oraz za zniewagę majestatu królewskiego.

Trzeba powiedzieć, że przygotowanie tego poematu jakby na „zamówienie społeczne” i rozpowszechnienie właśnie w czasie obrad sejmu wzbudziło w posłach nieustępliwość wobec rady gdańskiej. Poemat o straconych marynarzach spełnił skutecznie rolę broszury propagandowej, powodując jeszcze większe osłabienie pozycji zburzonego patrycjatu gdańskiego. Przyczynili się do tego także wystąpienia biskupa krakowskiego,

Kostki, oraz senatora Sierakowskiego, którzy 18 marca przedstawili na sejmie sprawę buntu rady miejskiej w Gdańsku i zamknięcia bram przed komisją królewską. 23 marca wezwano przed sejm delegację, a prawni doradca króla w sprawach morskich, elblążanin Friedewald, wygłosił sejmowy akt oskarżenia. Domagał się on ukarania rady miejskiej i uwięzienia jej delegacji.

Po wysłuchaniu tak ciężkiego oskarżenia burmistrz Kleefeld rozchorował się, musiał go zastąpić burmistrz Konstanty Ferber, obok niego zjawił się także trzeci burmistrz, Projekt i rajca Giese. Po ich wyjaśnieniach, 27 maja Friedewald wygłosił wielką 4-godziną mowę oskarżycielską, w której przypisał radzie miejskiej winę za wzniesienie buntu, obrazę majestatu królewskiego, wiarołomstwo wobec złożonej przysięgi i złamanie praw ogłoszonych przez królów polskich, a obowiązujących w Gdańsku. W rezultacie sąd sejmowy nakazał nałożyć na delegatów gdańskich areszt domowy, aby nie mogli opuścić Lublina.

Wreszcie 12 sierpnia ogłoszono wyrok, który polecał uwięzić delegację rady gdańskiej do czasu, kiedy komisja królewska zostanie przyjęta w Gdańsku i przeprowadzi na miejscu badania zgodnie z poleceniem królewskim.

2 lipca, już po rozpatrzeniu sprawy „tumultu” gdańskiego, ale przed wydaniem wyroku, król ogłosił w Lublinie dekret, nakazujący radzie gdańskiej pod utratą praw do portu przyjęcie floty królewskiej wraz ze zdobycznymi statkami, jednocześnie odwołując poprzednie zarządzenie o przeniesieniu bazy do Pucka. Odtąd znów Gdańsk miał być głównym portem polskiej floty wojennej. Trzeba przypomnieć, że król był właścicielem obszarów portowych w Gdańsku, gdyż ziemie te należały dawniej do książąt pomorskich, a po ich wymarcu przeszły na własność królów polskich, którzy oddali je w zarząd klasztorowi Cystersów w Oliwie.

Jeśli się zwąży, że jednocześnie dwaj burmistrzowie i rajca znajdowali się pod aresztem w Lublinie, trzeci burmistrz się rozchorował, a mimo to został też uwię-

ziony, zaś komisja sejmowa wybrała się do Gdańska dla przeprowadzenia dochodzeń, to można sobie wyobrazić, jaki strach padł na buntowniczy patrycjat gdański. Rada pojecha, że przebrała miarę i poniosła zupełną klęskę. Toteż już bez żadnych przeszkód flota polska wróciła w tym samym roku do portu gdańskiego, a kiedy zjawiła się komisja biskupa Karnkowskiego, tym razem przyjęto ją z pokorą.

Na sejm do Lublina przybyła również delegacja ziem pomorskich i pruskich z wojewodą malborskim i gubernatorem Prus, Fabianem Czerną oraz wojewodą chełmińskim, Janem Działyńskim, na czele, aby radzić nad sprawą zupełnego zjednoczenia z macierzą poprzez włączenie posłów z tych ziem do sejmu polskiego na równych prawach z innymi dzielnicami. Przy rozważaniu tej sprawy król Zygmunt jako najwyższy tłumacz praw orzekł, że dzieje się to zgodnie z aktem inkorporacyjnym Kazimierza Jagiellończyka, którego słowa ucielamy i łączymy oznaczają pełne zjednoczenie z państwem polskim, a inne określenie królewskie o tym, że mają o ważnych sprawach radzić wspólnie, nadawało przedstawicielom tych ziem prawo udziału we wspólnych obradach sejmu koronnego wraz z posłami wszystkich ziem polskich. Razem z przedstawicielami ziem litewskich delegaci Prus złożyli więc przysięgę na całkowite zjednoczenie z Koroną Polską.

Król ogłosił 16 marca w Lublinie dekret, na mocy którego Prusy stawały się jedną z dzielnic kraju. Przystawiały tam obowiązywać odrębne prawa, znoszono odrębny samorząd oraz sejm krajowy. Przedstawiciele ziem pruskich mieli brać udział w sejmie koronnym i ziemie te podlegały odtąd jego uchwałom tak, jak wszystkie ziemie Polski, Litwy i Rusi. Na wielkim sejmie lubelskim obok ostatecznej unii z Litwą dokonano się więc także całkowite zjednoczenie ziem pomorskich i pruskich, a jednocześnie potwierdzona została władza królewska nad Inflantami, zaś Kurlandia i Semigalia zostały bezpośrednio związane do Korony. Na sejmie w Lublinie Polska manifestowała swe zjednoczenie i swą

siłę zarówno na lądzie jak i nad Bałtykiem.

W licznych oracjach sejmowych polscy mężowie stanu i przedstawiciele szlachty wskazywali na znaczenie morza dla państwa i na potrzebę rozbudowy floty. Senator i wojewoda łęczycki, członek komisji Jan Sierakowski, wzywał do użycia floty dla obrony zagrożonego inflanckiego wybrzeża mówiąc: *Okolo ratowania ich, iż drudzy mówią daleko, a wszak wiemy, że Wasza Królewska Mość masz na morzu nawy swe, armatę, możesz zaudyć tak ich bronić, boć obrona nie może być jeno wspólna. Wojewoda sandomierski, Piotr Zborowski, wskazywał również na ważną rolę floty i domagał się wzmocnienia zespołu okrętów u wybrzeży inflanckich, wołając w sejmie: *Kiedy by Wasza Królewska Miłość miała armatę na morzu, żeby się mogła dać obrony zawoły przedka.**

Sejm wypowiedział się także za tym, żeby ustanowić stałą armatę, a więc stałą, regularną flotę wojenną i powołał dodatkowo 3 tysiące żołnierzy do obrony wybrzeży i panowania morskiego, jak to wyraźnie podkreślano — *ad dominium maris. Jednocześnie izba poselska ponowiła żądanie szybkiego wybudowania pałacu dla króla w Gdańsku i umocnienia władzy nad tym portem aby panowanie na morzu było nie przy nikim, jak tylko przy królu i Koronie Polskiej. Bodajże po raz pierwszy w uchwale sejmu zaznaczono, że nie chodzi tylko o władzę króla nad Gdańskiem i wybrzeżem oraz morzem, ale o władzę państwa polskiego czyli Korony Polskiej.*

Ukoronowaniem morskiego dzieła wielkiego sejmu lubelskiego było ogłoszenie 3 lipca 1569 r. ustawy senatu, ratyfikowanej przez króla, o utwierdzeniu Komisji Morskiej, zawierającej rozszerzenie jej zakresu i uznanie dla jej dotychczasowej działalności. We wstępie do tej ustawy powołano się na dekret królewski z 24 marca 1568 r. o powstaniu Komisji i w uroczysty sposób podkreślono jej znaczenie jako urzędu, który ma troszczyć się o panowanie Polski na morzu i wybrzeżu jak o cenny klejnot zastawny, *preliosum pignus — najbar-dziej konieczny i pożyteczny dla*

królestwa i narodu. Komisja Morska miała strzec praw polskich iura regalia do władztwa nad morzem, wybrzeżu, na ziemiach nadmorskich, w portach i ujściach znaczących rzek do Morza Bałtyckiego. Dla lepszego kierowania sprawami morskimi i rozwojem floty powiększono jej dochody. Poleciono także, aby komendant warownej latarni gdańskiej składał na ręce komisarzy przysięgę na wierność i posłuszeństwo królowi. Dokument senatu podpisany został przez senatorów: biskupa Stanisława Karnkowskiego, wojewodę Jana Sierakowskiego i kasztelana Mikolaja Firleja.

Sejm lubelski otworzył nowe szerokie możliwości dla rozbudowy floty wojennej, która tymczasem prowadziła nadal skuteczną działalność, odnosząc sukcesy w zwalczaniu nieprzyjacielskiej żeglugi i floty. Na wiosnę 1569 r. tylko na wodach wokół wyspy Bornholm liczyła ona około 14 okrętów. 2 lipca okręty polskie znów wróciły do Gdańska. W tym samym miesiącu doszło pod Rewlem do walk polskiej floty z okrętami sojuszniczej dotychczas Danii. W tym rejonie obok Sierpinka działał teraz nowy admirał, Hans Munkenbeken, który właśnie na sejmie w Lublinie otrzymał list królewski i dowodził eskadrą okrętów polskich z tytułem *praefectus custodire maris*, a więc jako *przełożony straży morskiej*, czyli admirał.

Sejm lubelski z 1569 r. odegrał wielką rolę w tworzeniu silnej floty i umocnieniu pozycji Polski nad Bałtykiem 375 lat później, w lipcu 1944 r., w tym samym Lublinie sformowano pierwszy morski batalion, który stał się zaczątkiem Ludowej Marynarki Wojennej. Po lubelskich bruchach podkamkowych, po których maszerowali kiedyś strażnicy morscy Zygmunta Augusta, przeciągały oddziały marynarzy, którzy wiosną 1945 r. wyruszyli do Gdańska, aby podjąć dzieło odbudowy polskiej floty wojennej.

Józef Wójcicki



# Przeszłość i przyszłość myślenia

Jadwiga Mizińska

**K**IEDY brodaty matematyk zachęcał Adasia, uroczego „Szatana z siódmej klasy”, do rozplątania tajemnicy skradzionych drzwi słowami: „Myśl, myśl młodzieńcze, myślenie ma wielką przyszłość”, nie przypuszczał zapewne, że słowa te staną się hasłem epoki, w której przyszłoby żyć dorosłemu panu Adamowi.

Wielkie osiągnięcia nauki i techniki, które przekształciły obraz świata i zmieniły w zasadniczy sposób dotychczasowy model ludzkiego życia, podniosły w oczach społeczeństwa rangę wiedzy — a tym samym myśli ludzkiej. Okazała się ona bowiem „naturalnym bogactwem”, które tak jak ropa naftowa czy węgiel może stanowić źródło energii, ale które posiada nad tymi ostatnimi zasadniczą przewagę — nigdy nie jest w stanie się wyczerpać.

Nie jest więc przypadkowy gwałtowny wzrost zainteresowania problematyką myślenia, jaki można zaobserwować w ostatnim okresie. Zainteresowanie to idzie wyraźnie w dwóch kierunkach: z jednej strony dotyczy samych prawidłowości przebiegu tego skomplikowanego procesu psychicznego, z drugiej zaś — możliwości i perspektywy ludzkiego intelektu. O ile pierwszy krąg problemów jest przedmiotem badań stosunkowo wąskiego grona profesjonalistów, głównie psychologów, o tyle zagadnienia związane z futurologicznym zrewidowaniem wynalazków i odkryć cieszą się popularnością wśród najszerszego grona ludzi inteligentnych, niezależnie od wieku czy wykształcenia. Liczba czytelników powieści Lema świadczy wymownie o tym, że „gra o jutro” wciągnęła nie tylko naukowców specjalistów.

Inna sprawa, że powoli bezkrytyczny zachwyt nad osiągnięciami techniki zaczyna ustępować mniej optymistycznej refleksji. Raport U Thanta z 1969 r. o zagrożeniu naturalnego środowiska, raport tzw. Klubu Rzymskiego z 1971 r., przewidujący na r. 2070 swoisty „koniec świata” spowodowały wyczerpaniem się surowców oraz niekontrolowanymi skutkami postępu technicznego, doprowadziły do powstania w Wielkiej Brytanii grupy „Zegistów”, którzy nawołują do zahamowania rozwoju cywilizacji w obliczu nieuchronnego kryzysu.

Być może obydwie wersje przyszłości — zarówno optymistyczna jak i pesymistyczna — są przesadzone, niemniej pozostaje faktem publiczne zainteresowanie perspektywami nauki i techniki w naszym świecie.

Zafascynowani przyszłością myślenia niejednokrotnie jednak nie doceniamy jego przeszłości; nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że dzisiejsze sukcesy wiedzy były przygotowane w ciągu stu lat historii zmagania umysłu ludzkiego z różnymi żywymi problemami.

O przebogatej historii ludzkiej myśli niezwykle sugestywnie przypomina nam książka „Myślenie ma kapitalną przeszłość” Bogdana Kupisa. Jakkolwiek porusza ona głównie problematykę filozoficzną (podtytuł brzmi: „W kręgu pierwszych filozofów”), to może się stać zajmującą lekturą dla każdego, komu bliska są dzieje postępu.

Sięgając do dorobku pierwszych znanych filozofów europejskich autor pokazuje, w jaki sposób dostrzeżone i postawione przez nich problemy stały się podstawą zarówno do dalszego wspaniałego rozwoju samej filozofii (dzięki nim było możliwe powstanie wielkich systemów Platona i Arystotelesa), jak też przyszłego wyodrębnienia się poszczególnych nauk, odgrywających obecnie decydującą rolę w tworzeniu obrazu rzeczywistości. Okazuje się, że dzisiejsze triumfy matematyki, fizyki, biologii, psychologii itp. uwarunkowane są z reguły długotrwałym wysiłkiem dziesiątków pokoleń badaczy, a ich historia często mogłaby zaczynać się od słów: „Już starożytni Grecy...”

Główną zasługą Kupisa jest spojrzenie na „prehistorię” filozofii nie jak na lamus bezużytecznych, a czasem zabawnych lub niezrozumiałych igraszek intelektualnych, lecz dostrzeżenie w dorobku pierwszych myślicieli greckich wielkiego wysiłku, polegającego na sformułowaniu podstawowych pytań gatunku ludzkiego, skierowanych zarówno do przyrody, jak do samego człowieka.

Autor „Przeszłości myślenia” z pasją tropi historię problemów, z którymi boryka się współczesna nauka i coraz ukazuje zdumionemu czytelnikowi starożytnych prekursorów takich — wydawałoby się — „młodych” tematów, jak ateizm, eugenika, teoria atomistyczna, podbój kosmosu itp.

Szukając początków myśli racjonalistycznej, której rozkwit przyniosło ostatnie tysiąclecie, Kupis zwraca się do „ojca filozofii”, za jakiego powszechnie uważany jest Tales z Miletu. Ustrzeżenie się jednak europocentryzmu piszący:

Starożytne świadectwa, prawdziwe i zmyślone odnoszące się do narodzin myśli racjonalistycznej i całej filozofii greckiej, nam nie wystarczają. Bylibyśmy skłonni również gdzieś indziej szukać źródeł ich powstania, a nie tylko w samodzielnym talencie zegiarzy znanego z Egejskiego. Dla nas wszystko musi mieć swoją przyczynę, swoje źródła. Ledwo dopuszczamy myśl, by filozofia grecka mogła być oryginalnym tworem geniuszu greckiego. Przecież istniały już wszelkie systemy filozoficzne w Indiach i Chinach, przecież Grecy utrzymywali stałe kontakty z Egiptem i Babilonią, przecież wschodnie brzoły Azji Mniejszej były — jako tygłem, w którym przemieszało się wiele narodowości i kultur.

Zacytowany fragment stanowi świadectwo postawy autora, głęboko przekonanego o ciągłości rozwoju myśli ludzkiej i o wielkim znaczeniu jej pierwszych etapów dla przyszłych osiągnięć.

Obok Talesa centralne postacie tej książki to: żywiłowy materialista a zarazem katastrofista — Heraklit z Efezu, pierwszy krytyk antropomorfizmu religijnego — Ksenofanes z Kolafonu, Parmenides i jego następcy, Zenon z Elei, którzy rozpętali spór o istnienie ruchu w przyrodzie (znany paradoks eleatów o Achillesie ścigającym żółwia) był podejmowany jeszcze na początku naszego stulecia przez Bergsona.

Szczególne miejsce przynajmniej dla Kupisa greckim prekursorem teorii atomistycznej; Leukipposowi i jego uczniowi, Demokrytowi. Ich niezwykle śmiała hipoteza potwierdzona przez współczesną fizykę nie przypadła do gustu Grekom w V w. p.n.e. Jej twórców spotkał przykroś: Samemu Leukipposowi odmawiano nawet historycznego istnienia, zaś Demokryt zwałczany był przez Platona najokrutniejszą bronią — milczeniem. Autor „Przeszłości myślenia” podejmuje się do wieść zarówno istnienia jak i znaczenia Leukipposa i zapoczątkowanej przez niego, a kontynuowanej przez Demokryta linii materialistycznej w dziejach nauki.

Podkreślając wagę tego wątku w dziejach myśli ludzkiej, dostrzega jednak także pozytywną funkcję opozycyjnego idealizmu:

Ale kto wie, czy właśnie nie to wieloletnie błędnie po manowcach idealizmu wytyczono „linię Platona” — stanowiącą najcięższy umysłowy dorobek ludzkości aż do naszych czasów, a może i wszystkich czasów? Po nas możliwy jest tylko rozwój automatyczny. Dwa dziesięć lat pięć wieków czekał na moment, w którym atomistyka mogła sobie zdobyć wyłączność w nauce współczesnej. Gdyby ten moment nadszedł wcześniej, mielibyśmy wspaniałą fizykę, chemię, astronomię, ale nie humanistykę.

Szczególną zaletą książki jest przybliżenie dzisiejszemu czytelnikowi sylwetek starożytnych myślicieli nie przez konwencjonalne opowiadanie anegdot z ich życia, ale przez próbę wczucia się w ich niepokój umysłowy, którego owocem były często takie pesymistyczne stwierdzenia, jak to, wyrażone w dwuwierszu Teognisa:

Najlepiej dla ludzi nie rodzić się wcale, Zrodzonym — przejść bramy Hadesu. (co rzyteli).

Do najbardziej sugestywnie przedstawionych należy postać Heraklita, znanego w historii „filozofa ciemnego”, który gardząc tłumem sztychającym z jego straszliwej choroby, ubierał swe głębokie myśli w formę steryzmów, do dzisiaj imponujących precyzją i lapidarnością. Twórcą teorii katastrofizmu, zafascynowany ogniem naucza, że wszystko zapala się podług miary i podług miary gaśnie. Ślady starożytnego kultu ognia i słońca jako źródła życia a zarazem śmierci i zaniku odnajduje Kupis w średniowiecznym „Hymnie do słońca” św. Franciszka z Asyżu, a także — ku zaskoczeniu czytelnika — w „Opętaniu słońcem” Wincenta van Gogha.

B. Kupis ukazując przekonywująco „kapitałną przeszłość myślenia” przekonuje nas zarazem, że myśl ludzka nie podlega procesowi starzenia się. Pytania postawione tysiące lat temu podejmowane są ciągle na nowo, a w odpowiedziach giną i znowu pojawiają się te same wątki.

W drugiej połowie XX wieku, kiedy nurt heraklitemskiej rzeki jest szybszy niż kiedykolwiek przedtem, zatrzymanie się i spojrzenie wstecz jest niezbędne. Może ono dostarczyć człowiekowi — trzcinię myślającej — słusznej dumy z dotychczasowego dorobku, ale też ostrzeżenie przed pychą, wywołaną przez najnowsze zdobycze cywilizacji.

Może też zrodzić pytanie: co pozostanie po nas w skarbcu ludzkiej myśli prócz coraz sprawniej działających automatów?

\* Bogdan Kupis, Myślenie ma kapitalną przeszłość. W kręgu pierwszych filozofów. Warszawa, „Iskry”, 1972.



Państwowy Teatr Współczesny im. E. Wiercińskiego we Wrocławiu. Tymoteusz Karpowicz — „Charon od świtu do świtu”. Fot. G. Wyszomirska

# Pozegnać teatr „lapsurdu”

Dokończenie ze str. 1

Przy całym jednak bogactwie formalnym polskiej dramaturgii powojennej ma ona niewątpliwie pewien bardzo poważny mankament: zabrakło w niej, zwłaszcza ostatnio, pozycji podejmujących w sposób bezpośredni i niedwuznaczny zagadnienia naszej aktualnej rzeczywistości. Różne się tu upatrzyć przyczyny. Najgorzej chyba mają się rzeczy, gdy w kierownictwach teatralnych zaczyna się przejawiać autocenzura. Osobiście uważam, że największym hamulcem w atakowaniu problemów moralno-społecznych, dziś najbardziej aktualnych, arcyważnych, stało się rozgrzeszające obywatela obsesyjne grzebanie się w mechanizmie władzy lub pogrążanie się w filozofowaniu egzystencjalnym. A ponadto — pogarda dla „drobnych spraw obyczajowych”, dla „kopiowania życia”, snobistyczna gloryfikacja „wieloznaczności” (pod którą podsywa się częstokroć przebiegłe metnialstwo), dalej — zapowiedź „kolejowego pisania dramatu na scenie”, fałszywie pojętego „uczestnictwa widza” i różne jeszcze sztuczki poszukiwaczy „inszości” za wszelką cenę w okresie, kiedy klasycy lub bankrutują w sztuce kolejne układy, które przez jakiś czas uchodziły za „awangardowe”.

Obrazy wrocławskiej konferencji toczyły się w atmosferze względnej szczerości, a jednak cała prawda nie została powiedziana do końca. Nie powiedziano mianowicie, że to przede wszystkim pewien odłam zachlanny, zadufanych w sobie inscenizatorów wraz z kibicującymi snobami, intymidując opinia publiczną, narzucając pewne normy formalne, nie dopuszczając do alternatywnego spojrzenia na

istotę realizmu w sztuce — wywołał obecny kryzys teatru, kryzys, który odbija się fatalnie na dramaturgii, jeżeli niezwłocznie nie podejmie się frontalnej obrony dobrego tekstu literackiego na scenie.

Wydaje mi się też, że jednym z grzechów słownych ludzi decydujących dzisiaj o teatrze i postawionych o nim jest wyobrażenie sobie jednolitego, syntetycznego modelu widza, stworzonego na własne podobieństwo. Nigdy się tyle nie gadało o „uczestnictwie widza” i nigdy się równocześnie tak nie ignorowało ich rozlicznych upodobań, do których mają wspaniałe prawo. Nigdy się tak nie naginało „nowej wręczowości” widza do własnych gustów i smaczków, jak to czynią „ambitni młodzi” reżyserzy. W niejednym teatrze wojewódzkim plan repertuarowy przewiduje rzucenie tzw. masowemu widzowi paru ochłapów w postaci musicali spitaszonych z klasycznej komedii i tandetnej muzyki, reszta jest permanentnym „poszukiwaniem”, po większej części bez znalezienia czegoś naprawdę odkrywczego i wartościowego pod względem treści i formy.

W rezultacie nierzadkie są u nas wypadki, że ten czy inny teatr, powołany do krzewienia kultury artystycznej, zaczyna miąć się z życiem społeczeństwa, działając w jakimś sztucznie przez siebie wytworzonym wacuum.

Powiedziałam wyżej o spektaklu „Na czworakach” — głos w dyskusji. Otóż cała sztuka Różewicza jest dowodem na to, jak dalece przy ekstranowoczesnej formie może być utwór powiązany z realnym życiem. Poza tym wyszedł tu autor beziliterackimi ustami Pelai „teatr lapsurdu” — sam przecież zawsze ma coś ważnego ludziom do powiedzenia, a chce i umie powiedzieć to ostro, nie owijając w bawełnę.

Tadeusz Różewicz, niesłuchanie czuły na sprawy moralne, diagnosta, który ze zdumiewającą celnością ukazał zanik „normalnego”, tradycyjnego „dna” w społeczeństwie, wykrył katastrofalne „spadanie na wszystkie strony”, autor gorzkich, przejmujących sztuk „Kartoteka”, „Wyszedł z domu”, „Moja córka” — ten Różewicz — poeta napisał w końcu nad wyraz sardoniczną rzecz o kondycji pisarza w naszej rzeczywistości. Tragikomedie, miejscami raczej tragifarsę, bo przerysowane farsowe potęguje satyrę. Czy „Na czworakach” budzi smutek? Nie, zarżała zdegustowaniem, gniewem, sztyderstwem. Obawiam się, że Różewicz znalazł się w fazie (oby przeżyłowej) zniechęcenia i zobojętnienia, że — z wyjątkiem mówiąc — machnął ręką na otaczające „spadanie”, na rozbiście wszelkich ideałów i zasad, jak na coś, co się „nie da złożyć”. Podobny stan zapowiadał już w „Kartotece” — „wieszajcie się sami!”

Faktura formalna „Na czworakach” nasuwa pewne osobliwe spostrzeżenia. O ile liberalny był dotąd Tadeusz Różewicz w stosunku do swoich inscenizatorów, dając im tu i ówdzie wręcz carte blanche (szczególnie w „Akcje przerywanym”), o tyle w „Na czworakach” przejawia on chęć „przechytrzenia” arbitralnego reżysera. Muszę powiedzieć, że wobec krążących po Warszawie plotek o rzekomo poważnych ingerencjach Jarockiego w tekst autorski, przeczytałam sztukę powtórnie po jej obejrzeniu na scenie. Okazało się, że ingerencje sprowadzają się przeważnie do pewnych skrótów i przestawień (proceder uświęcony tradycją teatralną). Natomiast szereg pomysłów sytuacyjnych wyglądających na pociągnięcia reżyserskie znajdujemy po prostu w didaskaliach, łącznie z Pelasją w stroju pogromczyń, wymuszającą biczem pracę pisarską, łącznie z poetą-ptakiem usiłującym unieść się w powietrze (Jarocki zrealizował odlot w pełni).

W ogóle inscenizacje Jerzego Jarockiego są zgodne z intencjami poety, rozbudowują szczęśliwie jego surowość. Nie piszę tym razem recenzji, trudno jednak powstrzymać się od uwagi, że znalazł Różewicz i „swoich” aktorów w osobach: Ryszarda Hanis (Pelasia), Zbigniewa Zapasiewicza (Laurenty), Józefa Nowaka (Pudel), Mirosława Krajewskiego (Dziennikarka), Zbigniewa Koczanowicza (Sitko), Tadeusza Bartosika (Hermafrodyt); a Andrzej Szczepkowski w roli doktora Racapana wręcz zaskakuje sprawnością gimnastyczną — innych jego dobrze znanych walorów interpretacyjnych podkreślać nie potrzebuje.

Cóż jednak o dalszych spektaklach, skoro się było na festiwalu? Ano wyszła z tego jedna wielka stypa. Oto specyfikacja: również Różewiczowski „Pogrzeb po polsku” (który, niestety, nie miał szczęścia do trafnego ujęcia we wrocławskim Teatrze Polskim); pokazana we wrocławskim Teatrze Współczesnym poetycka ballada Tymoteusza Karpowicza, której sam tytuł „Charon od świtu do świtu” zapowiada mroczne treści; „Klik-Klak” Jarosława Abramowa, nazbyt leciutka komedyjka historyczno-obyczajowa, zmodernizowana na siłę w finale „symbolicznym” katafalkiem; śmierć alkoholika w posępnych „Łękach porannych” Grochowiaka, gdzie bohater prowadzi ze swym sobowtorem rozmowy a la Iwan Karamazow... „Pasji Doktora Fausta” nie widziałam.

W sumie niewesoły obraz teatralnych realizacji polskiej dramaturgii współczesnej.

Parę dni temu natrafiłam przypadkiem w „Życiu Warszawy” na wyjątkowo piękną cytację z dzieł Marcina Lutera, użytą jako motto do pewnego artykułu:

Gdyby już jutro cały świat miał zginąć, dziś jeszcze posadziłbym jabłko.

Właśnie takich jabłonek trzeba, zdaje się, złożyć naszej dramaturgii współczesnej, zagubionej w restertkach egzystencjalistycznych.

Maria Bechzyc-Rudnicka

## Krzysztof Janczak

\* \* \*

Lepili posąg z gliny od dawna już przemysłanej  
lepili nogi ręce tułów i tak  
powstawała postać wiernie twórcy oddana  
tylko twarz twarz była ciągle rozumna

\* \* \*

Od sadu pełnego owoców dzielił nas kilkometrowy mur

wchodiliśmy sobie na plecy kolejno jeden drugiemu w ostatniej chwili ktoś zrezygnował

**Zbigniew Włodzimierz Fronczek**

\* \* \*

Zmarła ciotka całe życie przygotowywała się do pogrzebu. Na pogrzebie nikt nie mógł znaleźć słów zupełnie jakby ciotka zabrała je ze sobą.



**D**ZIEN był pochmurny. Morze ryczało jak opętane i w ogóle nastroj w kurorcie był podły. Tylko w klubie studenckim działawa umiała sobie życie malpimi wrzaskami. Wzmocnienie było potrzebne. Nie, nie jeden big-bit, zespół grał wieczorem i nawet dobrze grał. Po prostu broniące się przed nudą towarzysztwo korzystało z postawionej aparatury, pohukując do mikrofonu ni to dla rozgrzewki, ni to dla dodania otuchy snującym się po deptaku, okutym w koce czasosłowem.

Trzeba przyznać, że zabawa ta wnosila do monotonnego chlupania morza pozytywne urozmaicenie. Zakatarzeni letnicy miast, jak zwykle, gadać o wrednej pogodzie — pomstowali na rozwydrzenie młodzieży.

Lazilem naokoło chałupy i kombinowałem, gdzie by tu znaleźć kawałek suchego miejsca. W domu była wilgoć.

# Happy end

Henryk Lothamer

— Pętasz się jak chory po wychodku — powiedział Andrzej, wychodząc z chałupy.

— Na co chory? — spytałem rezolutnie.

— Na opętanie — warknął.

Różnych opętanych się znało — zauważyłem rzewnie. — Jak tam Majka? — spytałem i zaraz zrozumiałem, że palną głupstwo. — Pewnie — powiedziałem — śpi jak zwykle. — I znów głupstwo. Już wiedziałem, jak Andrzej kombinuje, czy to moje „jak zwykle” odnosi się do ostatniego tygodnia, który spędziliśmy razem w kurorcie, czy do innych czasów. — Bo ostatnio — próbuję się migać — jakaś jest śpiąca. — O rany, po cholere to „ostatnio”. Przecież do tego musi być jakieś „przed-ostatnio”, dla porównania, psiakrew. A ten nic, tylko patrzy, jak by mnie chciał w pysk kopnąć i już nie wiem, czy kopnie, czy pójdzie się powiesić, i z tego wszystkiego rzygać mi się chce, bo nie lubię temu jeleniowi robić przykrości, bo mi go szkoda i wiem, że kocha Majkę jak pies i że ja, choć bym na łbie stanął, nie umiałbym jej kochać ani jedną dziesiątą tego, i w ogóle ona jest dla mnie mało rozgarnięta, a jak parę lat temu miałem z nią po pijanemu jakiś układ, to zupełnie nie wiedziałem, że dostanie kiedyś za męża takiego nadętego desperata. Już sto razy chciałem mu wrzasnąć, że jest jego jak cholera, właśnie jak cholera, której nikt od niego nie chce, że jest jego od początku do końca, w tę i z powrotem, i sama przecież go kocha, bo pierze mu demonstracyjnie, przy ludziach, skarpetki i pewnie czuje się jakoś winna, więc stąd to jego wariatwo, ale jak mu to mam do diabła powiedzieć? Ja, właśnie ja? Do psychoanalizy drania, czy jak? Ale, głupi, nie pójdzie, ma się za zdrowego, mądrego, męskiego i jest taki, nawet za bardzo.

— Help, help! — rozległo się z megafonu.

— Bydło! — w głosie Andrzeja znać było ulgę. On także usiłował wybrnąć z tego draństwa.

Każdy żal się odpędza jak umie — zauważyłem filozoficznie — jeden sporty uprawia szlachetnie, inny znów pohukać by rad, jeszcze inny w praktykach plugawych się plawi. Kanikuła, mój drogi, człowiek pozabawiony pracy, która jest uciechą jego jedyną, szuka namiastek ubocznych, by ich marnością stwierdziwszy, zateknie do produktywnego, osmieszającego działania, co je był miał ostatnio za kierat uciążliwy. W tym, mój chmurny młodzieńcze, zawarty jest cały sens kanikuły.

Zatem — Andrzej wszedł gładko w ton wyglądu — skoro idealnie jest twórcą produkcja, jakie bogi wymyśliły złośliwy nowotwór płatnego byczenia się raz do roku?

A te same, o żadną oświatę, które zdy cię pociąg przedjedzie, każą ci raptiem cenić sobie monotony dotychczas i pozornie niegodny uwagi był.

Tedy szczęście byłoby szarością, której tylko czarne wzory nieszczęść blasku przydają? Zali nie masz już perły pośród biota?

A nie masz, o maluczki, a nie masz, albowiem możesz mieć diament pośród pereł.

No to „Mewa”, czy „Fala”? — zapytał pesymistycznie.

Jeszcze raz udało nam się wywinąć z tego paskudztwa. Za każdym razem wydawało mi się, że to już koniec tych obzydliwych podchodów, że nareszcie padnie to ostateczne słowo. Słowo jak suchy przcinający pogmatwany węzeł. Cienie. Jak przy amputacji — potrzebne, jedne, a zarazem niosące ze sobą kalesko. Myślałem: najwyższej strące kumpla, pierwszorzędnego kumpla, ale też, myślałem, nie będę musiał bez przerwy zrywać idioty i udawać, że nie rozumiem jego rozpaczliwej wrogości. Wiedziałem też, że ja tego słowa nie powiem, bo to byłby koniec Majki i Andrzeja. A przecież chcieli być ze sobą, jak mało kto chcieli, i ja tylko byłem im kłoda na drodze do sielanki, a właściwie nie

im, tylko Andrzejowi, bo Majka wiedziała, wiedziała doskonale o jego zwariowanym, ale jedynym w swoim rodzaju uczuciu do niej i każdy to widział. Ale on nie był jej pewny, właśnie w związku z mną, z moim jakże głupio przypadkowym pierwszeństwem. Lecz o nie mającym znaczeniu przypadku on nie chciał słyszeć, no bo jakże, to co on posiadał poprzez głębioką i czystą miłość, kto inny mógł mieć ot, tak sobie, „przy okazji”. A tym bardziej nie mógłby znieść myśli, że już kiedyś kogoś kochała, bo on wie, co to znaczy pierwsza miłość, przecież to jemu wydaje się, że nikogo po niej nie mógłby kochać.

Doszliliśmy jednak do „Mewy”. W knajpie oczywiście tloki i smród. Pogoda taka. Te wszystkie typy, co to, gdy cudem pokaze się słońce, szpanują swoimi brzuchami na plaży i podrywają dwutygodniowe, efwupowakie wyplochy, które całym biurem obsadzają turnus i tak, jak cały smutny rok zabiegali o względy starsze-

go referenta, teraz z braku wyż. wym. walczą o niemniej rachityczną męskość kurortowych playboyów w nonironach — tak więc, te wszystkie typy siedzą teraz w „Mewie” nad czerwoną strażką i pocieszają się, że w końcu pewnie będzie słońce i że każdy zaliczy przecież swojego kocmołucha.

Janka przyniosła nam normalną działkę — butelkę czystej i dwie wody mineralne. Przysiadła się na chwilę do nas, żeby — jak mówiła — odetchnąć, bo ta hołota zamiast uczciwie wziąć połówkę, lub chociaż kwaterkę, gania ją z pięćdziesiątkami, i że głupio robią, bo ona za każdym razem wciska im że złości zakąski, przez co ta chytrość dużo więcej ich kosztuje, a poza tym każdy z nich chce ją poderwać na dans, i że nie przyjdzie takiemu do łba, że człowiek może mieć dosyć smrodu własnej knajpy i przy tej cholerniej orce nie w głowie jakieś duperele.

Pani Janeczko, cztery małe, ale na jednej nóżce! — dobiegło od sąsiedniego stolika, przy którym siedziało czterech wyniiałych w nonironach.

Nie widzisz, łobuzie, że kobieta jest zajęta? — Andrzej wyraźnie szukał fartu, a ja dobrze wiedziałem, dlaczego on potrzebuje kogoś trzasnąć, i nie chciałem, żeby bogu ducha winien sezonowy pijaczyna miał wziąć to, co się właściwie mnie należało, ale interwencja nie była potrzebna, bo typa ze strachu zatkalo i milczał. Andrzej jednak próbował dalej:

Pewnie go kibić gania ścierać po chałupie — zwrócił się do mnie specjalnie głośno — i każe mu spać w nogach, to on teraz by chciał sam kogoś poganiać.

Koledzy wyniiałego zachichotali nerwowo i oblesnie, dając w ten sposób do zrozumienia, że doceniają dowcip Andrzeja i że nie przeciwko niemu nie mają. Przy kilku najbliższych stolikach zrobilo się ciszej, ludzie patrzyli na wyniiałego. A on siedział jak na szpilkach i na twarzy miał żalostną mieszaninę strachu, rozpacz i nienawiści. Pewnie marzył szybko o pistolecie maszynowym, albo o swoim dawnym przyjacielu z wojska, który trenował boksa, lub chociaż o kawalku milicjanta. Ale milicjanta nie było, bo po co miałby się na służbie wodzić na pokuszenie i łazić do knajpy, a przyjaciel z wojska był przyjacielem z wojska, a nie z biura, nie mówiąc już o zupełnie nie-realnym pistolecie. A ludzie patrzyli i patrząc wymagali jego reakcji. Niektórzy wstydzili się za niego, bo byli pewnie tacy sami i chcieli podświadomie, żeby ratowali ich wyniiałych honor i on to czuł, tym więcej się bał i pociał i w końcu desperackim ruchem sięgnął do kieszeni i zrywając się od stolika rzucił nań pięćdziesiąt złotych, a potem pobiegł bez słowa do wyjścia.

Andrzejowi było głupio. Zeby pokryć swój wstyd, zaczął rozlewać wodkę do szklanek. Wypiliśmy i to była konieczność. Bo wyniiałych, pomimo że wyszeli, jednak siedział w naszych sumieniach i trzeba go było utopić, bo jak by miał siedzieć dalej, to trzeba by o nim mówić, to znaczy trzeba by sobie powiedzieć prawdę, a przecież tej prawdy, jak zardzewiałego niewypału, dotykać nie wolno, bo dobrze wiemy, że to zabija, a jak leży nie ruszane, budzi tylko uczucie ciągłego zagrożenia, z którym żyć jakoś się da, choć przecież zawsze lata po łbie myśl, że może grat jest zupełnie bezpieczny, iż wystarczy po prostu podnieść go i przekonać się, że niewinny, rozbrojony, albo wręcz atrapa i mieć z głowy. Ale kto by chciał ryzykować.

Andrzej był już trochę zaprawiony, pił więcej ode mnie. Upił się na smutno. Parę stolików dalej siedziała w byle jakim towarzystwie zupełnie podchodząca panna. Była już trochę przytruta, a im więcej piła, tym częściej spoglądała w naszą stronę. Podobaliśmy się jej najwidoczniej. Uznałem, że typy siedzące z panną wobec nas szans nie mają. Andrzej także zauważył, że panna nas obcina. Z pijacką bezczelnością zaczął się jej przyglądać, ale ona widocznie nie była z tych najskromniejszych, a poza tym pewnie o to jej szło, więc tylko przymilnie się do niego uśmiechnęła.

— Dzwika — powiedział Andrzej i odwrócił się w moją stronę.

Panna podskoczyła lekko, jak człowiek zaskoczony prawdą oczywistą, albo taką, co chowa tajemnicę i ta nagle zostaje odkryta, potem zaś nadęła się, co miało oznaczać, że jest obrażona.

— Dzwika, ale ładna, prawda? — spytał i nie czekając na odpowiedź dodał: — i może niegłupia, może nawet zupełnie mądra? — zastanowił się — chyba może się podobać, co?

— Niewątpliwie — powiedziałem zupełnie szczerze, bo przecież panna była całkiem podchodząca.

— Mogłaby się podobać — powtórzył z pijackim uporem — i nawet więcej — dodał — jak bym ją spotkał na plaży, to mógłbym ją rwać. A ty byś rwał? — spytał.

— Zależnie od układów — odpowiedziałem.

— Nie kręć — zapienił się — tylko odpowiedz jasno, rwałbyś, czy nie?

— No, powiedzmy, że tak, i co z tego?

— Więc podoba ci się i rwiesz ją — podsumował, — a jak już zerwałeś, to bierzysz na lody pingwin, a potem na dans prosisz, a ona, bo i ty się jej tymczasem spodobałeś, powiada, że by wolała na spacer, czym cię za serce chwytą, bo jakoś dziwnie wolimy panny, które nie lubią knajp, i na tym spacerze okazuje się, że posiada większość walorów, jakie chciałbyś widzieć u swojej dożgonnej. No i, jako że masz odziedziczony po ojcu romantyzm, potrzebę stabilizacji seksualnej, jesteś gotów uczciwie się zakochać i po paru takich spacerach zamazałeś się na amen. I co dalej? Pewnie chciałbyś na tapczan, ale to nie jest dla ciebie panna od strzelania bramek, to jest dla ciebie zupełnie inny układ, duszszczyptielny, jak by powiedział poeta Puszkina. Więc wstawiasz w to, bo tak ci pasuje. A potem wyznajecie sobie miłość przy księżycu i idziecie miłować się w kącie cichy pośród uczuć samych szlachetnych. — Ostatnie słowa wypowiedział nie tylko ironicznie, to był i autentyczny smutek, była gorzka.

Wiedziałem doskonale, do czego zmierzają, ale nie miałem pojęcia, po co to robi. Czyżby zamierzał wykrztusić wreszcie to w a ż n e, czy może mnie chciał podpuścić? Gubiłem się w domysłach, a on mówił dalej powoli, bo pijany, ale dokładnie. On wiedział, co chce powiedzieć.

I w końcu — mówił teraz zupełnie trzeźwo i poważnie — w końcu się pobieracie! Ze wszystkimi szykanami: urząd stanu cywilnego, ksiądz, bo tak chce rodzina, wesele, i to wszystko jest w porządku, bo się kochacie... — Otrząsnął się nagle, wypił, co miał nalane, i wiadało było, że przystępuje do poiny.

A teraz — powiedział — zapamiętaj sobie ten film, który ci opowiedziałem, i popatrz na tę dzwinkę. Wyobraź sobie, że przyszedłem dziś do „Mewy” sam, albo z kim innym, w każdym razie bez ciebie. I jestem w innym nastroju. Ta panna zachowuje się identycznie. Ja sobie myślę, że od przybytku głowa nie boli i biorę ją do łóżka. Kropka. Pamiętasz jeszcze ten film? Uwierz w ten film. Więc spotykasz ją za tydzień na plaży, podoba ci się i rwiesz ją...

Andrzej przyglądał mi się uważnie, wiedział, że mnie ma, że to ja będę musiał pierwszy powiedzieć, a ja mówić nie chciałem i myślałem, jak by się wymigać.

— Powiedziałbyś pewnie... — spróbowałem, ale był szybki, pilnował mnie.

— Mnie już nie ma, wyjechałem.

— To był film — powiedziałem, — melodramat.

— Tak, melodramat, ale on nie miał końca i ty mi ten film dokończysz — powiedział tonem nie znośącym sprzeciwu i ja wiedziałem, że będę musiał ten film dokończyć.

— Chciałbym — powiedziałem poważnie — żeby to był happy end.

— Ja też bym chciał — powiedział i właściwie była to prośba, tak zabrzmiało, jak gorąca prośba — chciałbym, żebyś wymyślił prawdziwy happy end.

— Nie powiedziałem — starałem się mówić powoli i szczerze — że wymyślę happy end, mówię tylko, iż chciałbym, żeby to się tak skończyło, ale tu nie ma miejsca na happy end...

— Poczekaj chwilę — przerwał mi — nie mów pochopnie, zastanów się.

— Cały czas, kiedy opowiadałeś mi ten film, chciałem, żeby się skończył happy endem, a teraz wiem, że to się nie da. U mnie byłby to melodramat do końca. Ja bym cię zabił, o ile, oczywiście, byłoby to możliwe, a potem, przekonawszy się że nie nie pomogło, powiesiłbym się chyba.

Andrzej patrzył na mnie rozszerzonymi oczami i było w tym spojrzeniu do cholery autentycznej rozpacz. Zapragnąłem nagle, żeby ci wszyscy w nonironach rzucili się na nas ze sztućcami, żeby pokazali swoje człowieczeństwo, swoje ludzkie uczucia, abyśmy obaj mogli przekonać się, iż nie jesteśmy odosobnieni w tym, co czujemy, że jesteśmy jedynymi z wielu. Ale nonirony siedzieli, żując beznamiętnie swój wyniiałych żywot.

— Pani Janeczko — powiedział Andrzej — jeszcze kwaterkę.

Patrzyłem na niego ze zgrozą, kogoś mi w tej chwili przypominał. Podobieństwo było nie do podważenia: sposób mówienia do Janki, wyraz twarzy, gesty. Ale tak! Andrzej to był... Wyniiałych!

Stanisław  
Andrzej Łukowski

o sobie

niby już nie wracam  
niby już umknąłem  
z gawiedzi swoich dłoni  
z łapczywości oczu

lecz na nic to chytra moja  
na nic  
bo jestem  
byłem  
jestem  
sam przy sobie  
naprzeciw  
pośród  
mały  
ciężko wiesznie uwikłany w siebie

jeszcze mi drzewa zaśpiewają  
jeszcze  
choć ból kołuje — ptak w jasności  
biegły  
jeszcze mnie domy ciepłem zakofyszą  
jeszcze  
choć sam naprzeciw siebie nikogo nie  
zbawię  
jeszcze mi ziemia zbyt zylasta czarno  
jeszcze  
choć twarz w twarz z sobą podnosiłem  
rękę

z czasem przywykłem  
do łatwości umierania  
z czasem też  
nauczyłem się dostrzegać  
precyzję choroby  
z czasem też przywykłem  
do postugiwania się słowem śmierć  
jak by go można było użyć  
więcej niż raz w życiu

Stanisław Andrzej Łukowski ma przytaczać pasję, która jest turystyka. Objechał już rowerem parę razy całą Polskę, a raz nawet Jugosławie. Z tak zwanym terenem styka się też z racji zawodu geodety, który uprawia dla chleba, acz z upodobaniem, jako że z literatury u nas wyższe nie można. „W terenie jak to w terenie — powiada — ludzie lubią porozmawiać. Ten temu sosnę wyciął, dziadek tamtego był łobuz i tak dalej”. Z tej materii i z tych doświadczeń wysodził się proza Łukowskiego. Natomiast z poezją nieco inaczej.

Sam Łukowski wywodzi się z Lublina, z rodziny robotniczej. Urodził się 15 marca 1940 roku. Technikum Geodezyjne skończył w 1960 roku. Od razu stanął do pracy w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Geodezyjnym Gospodarki Komunalnej w Lublinie, któremu jest wierny do dziś.

Debiutował w roku 1960 w „Kamieniu” — opowiadaniem. Ponadto wiersze i prozę publikował w „Tygodniku Kulturalnym”, „Głosie Młodzieży”, „Nowej Wsi”, „Kulturze i Życiu” (dodatku „Sztandaru Ludu”) oraz Almanachu KKMP. Obecnie jest prezesem Koła Młodych przy ZLP w Lublinie. Ma złożony tomik wierszy w Wydawnictwie Lubelskim.

„Uprawiam lirykę intymną, w której usiłuję być wierny samemu sobie” — powiada. Istotnie, tereno-wie doświadczenia autora schodzą w tych tekstach jakby na plan dalszy, materia poetyczna staje się krajobrazem psychiki podmiotu lirycznego. Czyżby został pisarzem, trzeba przekroczyć granicę wstydu? „Chyba tak — odpowiada Łukowski. — Ale to jest pewne maksimum, na które nie każdego stać”.

MP







## „Nowy, wspaniały świat”

**N**OWA KOSMOGONIA Jana Brzękowskiego zawiera ponad sto utworów poetyckich, przynosząc obszerny tom, pełen interesujących wierszy i dowodów nieustannej aktywności wyobraźni poety. Jest to owoc pracy twórczej kilku lat. Do wydanej przez „Czytelnika” zbioru weszły — obok nowych utworów — tomy publikowane wcześniej przez londyńską Oficynę Poetów i Malarzy. Ale tamte książki: „Science fiction” oraz „Styczeń”, drukowane w nakładach bibliofilskich, miały niewielki zasięg i ich obecność w nowej edycji jest zrozumiała. O „Styczeniu” na tym miejscu pisaliśmy przed dwoma laty: wskazywałem wówczas na niezwykle istotną (na daleki) rolę czasu w poezji Brzękowskiego, który jawi się w najróżniejszych odmianach, na swoiste właściwości wyobraźni poety oraz na pogłębiający się konflikt między naturą a cywilizacją, która decyduje o wewnętrznym dramacie tej poezji. Brzękowski, dawny entuzjasta cywilizacji, tu okazał się sceptykiem.

W „Nowej kosmogonii” niektóre właściwości wyobraźni Brzękowskiego jeszcze się wystrząsły. Przede wszystkim uwidoczniła się podkreślona w tytule „kosmogoniczność”. Jest ona szczególnego rodzaju. Nie ma tu kreacji ex nihilo, poeta nie powołuje do istnienia swoich światów z niczego. Na te kosmogoniczną kreacyjność nakłada się bowiem inna zasada organizacji wyobraźni, mianowicie „science fiction”. Ten dawny tytuł tomu stał się tutaj mianem jednego tylko cyklu, lecz można nim ogarnąć ogromną większość utworów znajdujących się w „Nowej kosmogonii”. Zwykle wyobraźnia w poezji rozmiękała się w racjonalizm, fantastyka klęczała się z zasadami logiki. U Brzękowskiego przeciwnie. Jego wyobraźnia sprężona jest najciszej z logiką, stwarzane światy są poddawane prawom o nieublaganej konsekwencji i konieczności.

Utwory oparte na „science fiction” tracą często cechy wiersza i przekształcają się w prozę poetycką. Skłonności ku epice poetyckiej ujawniali Brzękowski już dawno, tu znalazły one świetne zastosowanie. Niektóre utwory mają wyraźny kształt fabularno-zdarzeniowy, albowiem niektóre pomysły poetyckie można było ująć tylko w kształt opowieści, jak choćby utwór o antykotach. Pomysłowość Brzękowskiego jeśli chodzi o poetycką fantastykę jest niemal niewyczerpana. Niekiedy punktem wyjścia są odkrycia już dokonane, ale Brzękowski prznosi ich wyniki w inną dziedzinę. Zwykle są to pomysły i „odkrycia” oryginalne. Oto elektromagnetyzm jako sposób komunikacji międzyplanetarnej, oto seryjna produkcja autostoni, karmionych pożywieniem syntetycznym, oto epoka, kiedy roboty-ludzie staną się przedmiotami codziennego użytku. W wierszu „Atak leporydów” czytamy:

Pod naporem leporydów  
wycofałem się na płaskowycie magnetyczne wyniosłe  
w stronę ciśnień barometrycznych rozcieńczonych

Jest to krajobraz kosmiczny i „naukowy” jednocześnie. Typowo przedstawia się relacja: człowiek i świat zewnętrzny. Stosunek ten układa się na zasadzie wrogości. Każdy nowy pomysł, każdy wynalazek obraca się przeciw swemu twórcy.

Wizje Brzękowskiego mają wiele wspólnego z marzeniami sennymi. Nie nowa to obserwacja, jeszcze bowiem przed wojną nazwano autora „Poezji integralnej” poetą snu. W nowych konstrukcjach artystycznych, podobnie jak we śnie, dokonuje się zawieszenie praw fizyki albo ich zasadnicze przekształcenie. W wierszu „Kołoidy” pisze:

W czasie przeszłym odległym niedokonanym  
na skutek inwazji koloidów  
wyszedłem z rzeczywistości stanów fizycznych.

Nie ma stałości, nie istnieje płynność, rzeczywistość nie może ulec konkretyzacji.

Zauważmy: w czasie przeszłym a nie przyszłym. Fantastyka Brzękowskiego nie jest bowiem wyłącznie projekcją i rzutem w przyszłość, działa także wstecz. Ma to także uzasadnienie w przyjętej tu teorii rzeczywistości. Podmiot liryczny jednego z wierszy wyznaje: *moją specjalnością są przesunięcia w czasie. Przesunięcie statecznika czasowego może człowieka dojrzałego przywrócić do stanu młodości, w ciągu paru sekund młoda dziewczyna może osiągnąć stan zgrzybiałej starości.*

W paradoksalny, a niekiedy przewrotny sposób Brzękowski pokazał nieograniczone możliwości człowieka i jednocześnie nieprzewidziane skutki jego działalności. U dna wielu twórców znajduje się stanowisko katastroficzne. Ale jest ono łagodzone czymś, co dawniej rzadko gościło w poezji Brzękowskiego, a czego brak nieraz miała za złe krytyka całej krakowskiej awangardzie. Chodzi o humor, który wspomniane widzenie katastroficzne osłabia lub nawet niweluje. Antykoty nie są groźne, ponieważ mają zdolność koncentrowania elektryczności w oczach i wyładowywania jej na niemiłe osoby. Są tylko zabawne. Podobnie jak transplantacja rosnących człowiekowi kłów — staremu słoniowi. Możliwości nauki w zakresie hodowania odmian człowieka są wielkie: może istnieć np. człowiek o czterech rękach lub żyć bez jakiegos ważnego organu. Pointra przekształca wszystko w (dwuznaczny co prawda) żart: *przyszłość należy do ludzi bez głowy.*

Rzeczywistość w wierszach Brzękowskiego jest niezwykle aktywna, porażająca jej elementy mają właściwości autonomizowania się i naruszania naturalnych proporcji rzeczy. Działa tu nowa geometria przeobrażeń. Nawet pojęcia abstrakcyjne ulegają materializacji. Czytamy w wierszach o zamrażaniu trwania, o wialni czasu, tryb czasu zostaje zestawiony z trybami kół. Kosmogonia Brzękowskiego jest tak przekonywująca, ponieważ owoc kreacji jest konkretny i dotykający.

Świat, do którego wprowadza nas poeta, jest jednocześnie prawdziwy i nierzeczywisty, cudowny i groźny, poważny i groteskowy. Logiczny i absurdalny. Jest niemal niepodobny do tego, w którym żyjemy i może dlatego tym chętniej powracamy do naszej zwykłej, ale może najlepszej rzeczywistości. Chodzi o odczucie, któremu na inny sposób dał wyraz Brzękowski w „Wehikule poezji”. Może poezja jeździć nawet na rakiecie międzyplanetarnej:

Ale najszybszym środkiem lokomocji  
jest ciągle jeszcze  
ta stara kobyła wyobraźni...

Tadeusz Klak

prawnik, działacz oświatowy, założyciel (w r. 1895) słynnego Liceum Krzemienieckiego, które odegrało poważną rolę w szerzeniu oświaty na ziemiach litewsko-ruskich. T. Czacki współpracował z H. Kollatajem w dziedzinie oświaty i był współzałożycielem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Ulubionym miejscem jego wypoczynku i spacerów był ładnie położony i starannie utrzymany park. Na pamięć tego ułani generała Szeptycyńskiego usypali w parku kopiec i umieścili na nim duży kamień z napisem: Tadeuszowi Czackiemu.

Od połowy XIX w. Jakubowice były w posiadaniu Grodzkich. Wybudowali oni młyn wodny, zmieniając zarazem bieg Bystrzycy. Po II W. nastąpiła dalsza przebudowa pałacu.

W roku 1944 i w latach następnych zamek został sdezastrowany. Propozycje odbudowy przewidywały na hotel lub dom wypoczynkowy czy też schronisko turystyczne — nie doczekały się realizacji. Natomiast nie uścisnęła się do Muzeum Okręgowego w Lublinie. Bednie ono użytkownikiem odbudowanego pałacu. Dokumentacja jest już gotowa i roboty mają ruszyć w przyszłym roku.

W wielu odbudowanego zabytku zostanie urządzona ekspozycja poświęcona historii pałacu, w pozostałej części będą się mieścić pracownie konserwatorskie i naukowe. Obszerną salę konferencyjną przeznaczy się na różnego rodzaju akcje zakolejowe dla pracowników muzeów terenowych. Wykorzystane mają być również pozostałe budynki gospodarcze. W jednym z nich projektuje

się urządzenie ekspozycji historii rolnictwa na Lubelszczyźnie. Dyrekcja Muzeum pragnie poza tym traktować cały zespół parkowo-pałacowy jako teren rekreacyjno-wypoczynkowy dla Lublina.

Obecnie Jakubowice bywają celami niedzielnych wycieczek. Podczas jednej z takich wypraw dwaj uczniowie szkół podstawowych, M. Waszlaki i K. Malocha, znaleźli w pobliżu ruin zamkowych 3 monety z czasów Zygmunta III oraz trzy monety szwedzkie: dwa portretki ebiłskie Gustawa Adolfa z r. 1639 oraz jeden półtorak hwoński Krystyny z r. 1642.

Jakubowice są piękne szczególnie na wiosnę. Na znozu wzgórza zamkowego kwitnie zióło słońca i ziarnopłon, a na łące skotniki. Nad kwiatami unosi się zwiłkowa cytrynki i rusalki. W maju rozbrzmiewa z zarośli wspaniały koncert słowicy. Tylko większy napływ niesfornych turystów może zniszczyć tę harmonię natury. Nie wolno również dopuścić do budowy nowej drogi. Byłaby to niestychana ingerencja w prawa zabytkowego, historycznego parku. Wiele osób domaga się w Jakubowicach bogatych domów estetycznych i pragnie uszanować ich niepoparty urok. Nie trzeba gasić tego uroku i pozwalać, by warkot i łoskot podających przez park traktorów posłyszeli słowiki i inne ptactwo śpiewające. Należy chronić ten uroczy zakątek jako naturalne środowisko człowieka.

## Krzyżówka nr 13

POZIOMO: 1. góry na pld. wsch. Polski, 6. mostek na statek, 16. droga wysza od otaczającego terenu, 11. światowy płatek, 12. taniec kubanski, 13. miasto okręgowe w NRD, 14. odosobne wystające zakończenie rynnny typowe dla gotyku, 15. panowanie, 21. miasto w NRD w pobliżu granicy polskiej i czeskosłowackiej, 23. miasto wojewódzkie, 24. rubryka lub kartoteka w księgowości, 25. stan w USA, 26. graby jałowy z rozległy masachów, 27. podsiasta, 28. naczelnicy krajowa, 29. radzili w państwach zaborczych, 35. złoty jaś, 36. osad na świecy (wspaki), 38. naczynie laboratoryjne, 39. coś absolutnie doskonałego, 40. klimat, 41. wieś na Hordoczu znana z długich krytych schodów do zabytkowego kościoła.

PIONOWO: 1. żona Zygmunta Staroego, 2. biegi, specjalista, 3. trening, 4. planeta układu słonecznego, 5. rzemieślnik kryjący dachy, 7. przegład, defilada, 8. np. łęczyńsko-włodawskie, 9. lotnisko pod Paryżem, 15. wieje się utmi droga pod górę, 16. list żelazny, 17. państwo europejskie, 19. imię autora „Dwozanina polskiego”, 20. państwo europejskie, 22. otoczenie, 27. miejscowość uzdrowska w woj. zeszowskim, 28. poeta włoski z XVIII wieku, tworca włoskiej tragedii klasycystycznej, 29. plaski próg na zbrocu Joliny, 31. pisarz hinduski, laureat Nagrody Nobla w 1913 roku, 33. rasa psa, 34. przewód do płynów i gazów, 37. miasto powiatowe w woj. kieleckim.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 16 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy cztery nagrody — bony książkowe.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11

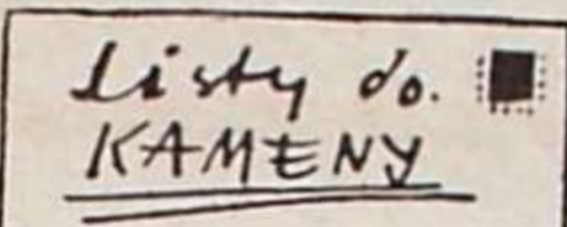
POZIOMO: Darłowo, Tolstoj, Szymonowski, aris, Enna, kontakt, nurt, tabu, mak, oni, Goa, Izysda, nandu, Sue, Spa, rym, wrak, Anna, Klepura.

1	2	3	4	5	6	7	8
				9			
10							
			12				
	13				14	15	16
17			18	19	20		
21							
			24				
25						26	27
							28
				29	30		
32	33	34				35	
					36		
38							39
40				41			

Lech, Ajka, Zawistowska, Aretino, Ariadna.

PIONOWO: dadaizm, Loza, oda, tio, sake, Jamajka, Sienkiewicz, mlot, Natan, wikt, inauguracja, krzyżak, tarcina, OAS, Ina, „Stolica”, popyt, mozaika — kiwi — wara (wspaki), hart, akta, sto, Oka.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 11 nagrody książkowe wylosowali: Janusz Stankiewicz, Świdnica St. ul. Kolejowa 21/4; Jędrzej Kompa, Jelenia Góra, ul. Małczewskiego 12/13; Teresa Bielecka, Kraków, ul. Rakowicka 3 m. 4; Zofia Kownarka, Lublin, ul. Róży Luksemburg 2/1.



### W odpowiedzi M. Żenniemu

Skłoda, że M. Żenni w swoim, do mnie adresowanym, liście otwartym sam nie przyjął był postawy otwartej, a przeciwnie — popadł w ton kłótni. Być może z rzecową polemiką dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś istotnego o krainie i kulturze. A tak poznajemy zaledwie parę, interesujących skądinąd, szczegółów o osobistym statusie obywatela Żenniego (czyżby stanowiło to powód zasadniczy listu), o jego stosunku do Dorkowskiego, o jego poglądach.

Bardzo dobrze zresztą, że Żenni ma jakiegoś poglądy. Lubię ludzi z poglądami. Nie lubię, gdy z przywołanych wrażeń czyni się kanony, cęda ich pozostawiając respektowaniu, zdaniem innych opatrząc mianem „szkodliwego społeczeństwa”. Skąd mi to znamy?

Żenni miał cytować i komentować. Zazna mi np. niestosowność wyznania, że rozmawiałem z ludźmi o ZDK. I komentować: „Może to dobry sposób dziennikarski, nie... Niebezpiecznie w ten sposób dotykać tradycji — wypląda na obnowy”. Co innego i „o wiecie lepiej... byłoby wejść w dzieło i porozmawiać z instruktorami”, czyli — jak się domyślę — samym Markiem Żennem. Dopiero wówczas nie byłoby to obmowa, a ziołoby się kanonem do wierzenia i uszczelnienia wazę czasu zapodany. Żaluję, że nie wiedziałem...

Rozmawiam ludzkie słabości. Wybrać Żenniemu jego śmiałość uszupienia sobie prawa do przemawiania imieniem (m. in. społeczeństwa). Mój przemysł adwersarz, jak się domyślę, młody jest bardzo, a przy tym ogromnie osobiste zaangażowany, bo przeciw „Partyzantom” wystąpił (na XXX lecie PPR), i Robotniczy Teatr Dramatyczny stworzył, i scenariusz ideowy z ideowym tekstem na okoliczność skomponował, a być może zaangażował się jeszcze bardziej... Tak więc skoro przeciwnik szanowany do osobistego tonu repliki rzucasz, osobiste dodam zdanie o charakterze wyłącznie osobistym: zaangażowanie rzecz piękna, ale gdy mówią o nim inni, a jeszcze lepiej — fakty.

Abym jednak nie przedłużał tej krepacji co najmniej sprawy, na zakończenie jeszcze raz pozwolę sobie westchnąć: skłoda, że Żenni w swoim „zartliwym” liście otwartym nie uczynił otwartą kwestii kultury krainiejskiej, nie uwiadził informacji i faktów, które mogłyby, w jakimkolwiek zakresie, zmienić zdanie czytelników na ten temat. Bo mimo wszystko wolałbym wizerunek, że motorem polemicznego ataku mego adwersarza była troska o kulturę, a ułóg temat mego skromnego reportażu. Rozmieniły się chyba jakoś o drodze? A skłoda.

St. Harasimiuk

Lublin

### Kto i dlaczego niszczy Nałęczów?

Autor tej notki, warszawianin, emigrant, człowiek chory na serce, nerwy i nie tylko — jest w Nałęczowie szczerze i raz od roku 1962. Od sześciu — siedmiu lat przejeżdża tu na miesięczny pobyt dwa razy w roku, aby podtrzymać serce i nerwy po „błogosławionych warunkach życia wiejskiego, nowoczesnego miasta.

A więc przejeżdża tu człowiek stary, chory, zmęczony, z poważną utratą zdrowia, bo był na tyle niepraktyczny, że żył nie po to, żeby jeść, łazić i grać w bruzdy; przejeżdża, żeby tu choć przez miesiąc pospać, poczytać, „lykać” powietrze, leczyć biedne oczy krótkowidza tutejszą bogatą ziemią.

Pisząc te uwagi, od dziesięciu lat wędruję, jak Nałęczów dośrodku przekształca się w stację przelotową: gospodarstwa zmierzają w kierunku zbudowania na miejscu sławnego uzdrowiska po prostu drugiego Strzykowskiego lub Nochaczewa. Nazwę „Cisów” Zeromskiego można będzie zmienić na „Misy” albo „Prafarykiaty”. To brzmi nieuczciwie.

Zaczęło się od postawienia w środku miasteczka — wiloczej, zielonej osady — kupy cegieł pod pokrętną nazwą „wesołobank”. (Mówi się, że budynek sieniowizji nie słyszy takich „perel” języka polskiego). Wkrótce poszły za nim trzy „bloki mieszkalne” spółdzielni „Przedsiębiorstwa” (to przez pomysł, zamiast „Zmierzach”) — też w samym środku miasteczka, choć znaczą

nie wcześniej zbudowano zespół szkół — pod lasem, za miasteczkiem. No! Ale śmiało naprzed! Teraz już bez wahań. Wycina się więc np. przy ul. Zeromskiego szereg starych, dużych drzew, trzebiemy sady, wycupaszczamy do terycycka prywatny park. Po co? Jak to po co? Żeby budować domki jednorodzinne.

To w środku miasteczka. A na krańcach rosną szybko przysiadane domy dwuspętrowe, wielopokojowe, budowane podobno również, jeśli nie zwieszczą, przez ludzi wcale nie mieszkających w Nałęczowie, ale mających te „biedne” polskie groszki, „zaoszczędzone” na „państwowych” posadach, domy przeznaczane dla amatorów zielonego powietrza, przyjeżdżających tu latem. Wartość takiej „chałupki” podobno przenosi często koszt 500 tys. zł. Po cichu słyszy się, że to kosztuje dużo więcej, ale przecież u nas nie ma ludzi bogatych.

Nawet więc rosną w Nałęczowie bloki i domki obłożone na „business”. Ludzi przybywa. Robi się gwaro, głośno, uwesoło jak w Sopocie. Tylko jeden drobiazg: ubywa drzew, cępa się zieleni, samochody prują potężniejsze, zmieniając tutejszy „mikroklimat”. Niedaleki jest czas, gdy tutejsze uzdrowisko straci rękę bytu, bo Nałęczów zostanie jednym z wielu w kraju siedlisk ludzi stłoczonych w blokach, pozbawionych zieleni, ale za to „wzbożonych” restauracjami, klubami, kawiarniami, boiskami, autobusami, gólniakami, gwarem, halasem. Nie potrzeba na to wozków.

Pamięcie redaktorzy! Skoro już istnieje taki dopust boży (nie odpust), jak prasa, wyczułacie cierpliwość głosów troski o Nałęczów i ratujcie go, póki nie przestanie być Nałęczowem. Zarobcie na wdzięczność przyjaciół Nałęczowa, do których należy również autor tej notki.

Eugeniusz Kembrowski

Warszawa

W Nałęczowie nie byłem kilka lat. Przemogła jednak tęsknota do wawozów, kwitających bzdów i słowików (wiadomo, że słowiki nigdzie tak nie śpiewają jak w Nałęczowie). Zupenie przypadkowo trafiłem na „Dni Nałęczowa” i w Nałęczowie różnokolorowe chorągiewki, a okolicznościowe napisy (w nadmiarze) obwieszczają o imprezach kulturalnych, ale właściwie nie się nie dzieją. Bardzo sprawiedliwi — bo przecież trudno coś ekstra nowego i oryginalnego wymyślić na takie „Dni”.

Koncerty w stylowej sal balowej pałacu Małachowskich były starannie przygotowane. Państwowa Filharmonia im. Wieniawskiego, współpracująca od czterech lat z Uzdrowiskiem, postarała się o wybitnych solistów i wysoki poziom wykonania. Jednak już w uroczej kawiarence pałacowej trudno było spędzić wieczór, jako że cztery dni pod rząd główna sala z orkiestrą zarezerwowany sobie na wieczorki zapoznawcze — domy wczasowe i jacyś zaczęli maturzyści.

Ale przecież Nałęczów ma wiele innych atrakcji, przede wszystkim miejsca spacerowe, przepiękna okolice i tak mi osobiste bliskie z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości zabytki. Nie, nie jestem należącozanim, choć zarówno rodzice, mój młaki jak i ojca przez pewien okres swego życia byli związani z tymi stronami, uprawiając (niestety, tylko pośrednio) tyznie lessy ziemi pulawskiej. Pewnie dlatego z kolei moi rodzice brali ślub w kościełku w Bechotnicy, a potem zawsze przyjeżdżali tu „na sezon”. Pamiętam więc koncerty w dużym, nie istniejącym dziś pawilonie przylegającym do budynku zakładowego nad stawem, a także odgłosy ball i dancingów z epoki charlestona w pałacu Małachowskich. Osobście nie zdążyłem już zetknąć się z Wielkimi, którym kuit pozostał tu do dziś, ale z matka chodziłem często do wili „Oktawia”. Dobrze utkwiała mi w pamięci dość halasiłwa postać przepasanej fartuchem pani Oktawii i dlatego ze wzruszeniem przeczytałem teraz tonik zwierający jej listy do Stefana Zeromskiego. Kto by wówczas pomyślał, że te zwykle, babkie listy pani Oktawii staną się po latach cennym przyczynkiem do biografii pisarza i... historii Nałęczowa.

Nałęczów tamtych czasów, lat po pierwszej wojnie światowej, a jeszcze „odległej” drugiej wojny, zmienił się bardzo. Nie ma już bliźniaków, głębokich kolumn w Alei Lipowej i nie bnie się po śliskiej glince przez ulicę Prusa — gdy po deszczu na się ochotę przebie na Jabuszko. Kto by wówczas pomyślał, że te zwykle, babkie listy pani Oktawii staną się po latach cennym przyczynkiem do biografii pisarza i... historii Nałęczowa.

Nałęczów ma swoje ambije. To się tu czuje i to się widzi. Ale ktoś niszczący Nałęczów! Pisze o tym obszernie w nr 11 (1968) „Kamieniu” Halina Chabros — „Kto i dlaczego niszczy Nałęczów?”

Bezmyślna zabudowa, na którą zgadza się Wydział Architektury, która akceptują władze miejscowe i powiat. Bloki spółdzielni mieszkaniowej usytuowane tuż za kinem mogły rzeczywiście stanąć nieco dalej, na uboczu, bez szkody dla ich mieszkańców. Nowy budynek sanatorium mógł zostać przesunięty np. na drogę wiodącą do Wawoznicy, a nie wciągając się w zieleni ogrodów i sadów. Można było inaczej zaplanować lokalizację niektórych wili i tzw. domków jednorodzinnych. Dlaczego musiały się znaleźć w najstarszej, „tradycyjnej” części uzdrowiska? Czy nie zadziałał tu tak często występujący w polskich warunkach schemat: głęboka rozbieżność między zamierzonymi (i ambicjami) lokalnych władz, które chciałyby Nałęczów przekształcić w „prawdziwe miasto” („u nas też ludzie chcą mieszkać w porządnym blokach, korzystać z wodociągów i kanalizacji...”), a interesami milioników należącego do „business” skupionymi dajmy na to w Towarzystwie Przyjaciół Nałęczowa? Ci ostatni chcieliby ocalić dawny urok Uzdrowiska, zatrzymać może wszystko w stanie, w jakim to kiedyś zastali, jak najmniej przekształcać, ulepszać.

Ale życie ma swoje prawa. Chyba najbardziej konserwatywni milonicy Nałęczowa zgodzą się z tym, że Aleja Lipowa pokryta asfaltem nawierzchnia, jasno oświetlona wieczorami — zyskała, a nie straciła na uroku. Jednocześnie trzeba by pomyśleć o skierowaniu przy najmniej części wielkiego ruchu motoryzacyjnego z tej arterii jak i z Armatniej Góry na jakąś drogę okrężną, bo inaszej spaliny zatrują Nałęczów.

W pałacowym parku utwardzone drożki i aleje rozciągają kuracjom na spacer w każdej porze roku. Troskę o estetykę i wygodę ludzi widzą w Nałęczowie na każdym kroku i to musi cieszyć, ale bardzo poważnie należy zastanowić się nad planami dalszej rozbudowy Uzdrowiska. Miasto musi się rozwijać, ale tereny pod wyższą zabudowę (jeśli taka jest konieczna) należy zlokalizować na drodze do stacji kolejowej i w kierunku Czesławic. Można też pomyśleć o drodze do Lublina, za kościołem, ale nie wolno pod żadnym pozorem niszczyć piękna wawozów stanowiących unikalny zabytek przyrody. Wycinienie drzew w samym Uzdrowisku może bardzo szybko doprowadzić do zmiany mikroklimatu. O tym pisano już niejednokrotnie.

Chrońmy więc Nałęczów przed zagładą, przed zburzeniem. W taki właśnie sposób zniszczono Zakonane, m. in. z powodu lokalizacji obwodnych bloków na Równi Krurowej, które zastąpiły całkowicie góry i zmienili charakter kurortu.

Nałęczów można jeszcze ocalić. Jestem przekonany, że sami jego mieszkańcy, jego władze, jak i instytucje pielęgnujące tu tradycje pragna tego tak samo gorąco, jak i milonicy Nałęczowa, przyjeżdżający tu, jak ja, z daleka — od czasu do czasu aby odszukać swe dawne wspomnienia i nasycić się urokiem wyjątkowym, który tu jeszcze pozostał.

Prof. dr habil.

T. Dzierżykray-Rogalski

Warszawa

## »KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIEŻ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WĄSNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAJKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redaktor techniczny — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielać placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin. Aleje Radwickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Numer inam KONSTANTY KEPA

Adres redakcji:  
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 233-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 273-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecony i ekspresowy — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1479. 31.V.72. 10.851.

B-4



# Tylko dwie sekundy

Romuald Wiśniewski

**G**dy wjechali do Lublina, gdy wpadli w zakręty wąskich ulic śródmieścia, Moravec poszedł na całego. Za nim, prawie koło to koło, Nielubina, a potem nastąpił ten trójceci zjazd lukiem ulicy Króla Leszczyńskiego. Czesi jakby chcieli pokazać, że nie na darmo nosi na prawej ręce bransoletkę z wygrawerowaną grupą Król. Rzucał się do przodu niczym desperat, rzyknął, szaleł. Zyskał kilkanaście metrów. Nie hamując wziął drugi wjazd na stadion i pedał po biegni, lecz tuż wpadł Nielubina, położył się prawie na rowerze, w oczach odbiła strona dystansu. Centymetrami zwyciężył Czech, dostał 30 sekund bonifiki. Rosjanin — tylko 13; przegrał, którą Nielubina miał jeszcze rano, ponieważ o zajęciu drugiego miejsca na lotnym finiszu, nie pomógł mu nic. Liderem został duopolonik Moravec.

Po utracie złoty kosztu w Lublinie, Nielubina odmietł udzielania wywiadów. Nie chciał rozmawiać z nikim. Gdy wsiadł do autokaru odwożącego kolarzy do hotelu, trzy staty mu w oczach. Może ten twardej, nieustępliwej mężczyzna ma słabe nerwy, a może po prostu zbyt wiele napięcia wymagał od niego wyścig? Po kolacji

zaskakiwał się w swoim pokoju i nie wpuszczał nikogo oprócz trenera i masażysty. Następnego dnia wjechali do Lublina. Moravec, zadowolony, zadowolony, wczoraj rozpromieniony i szczęśliwy, teraz był pełen niepokoju. Dla siebie ostatni etap, zdawałoby się, łatwy, jednak w ostatnim momencie przeliczył, że ma za sobą przede wszystkim Nielubina, choć kilku innych też.

Jechali w tym dniu najsztywniej. Przeciwno zwyciężył wysiłek 48 km/godz. Kolarzy pechal wiatr w plecy, wyprzedzający możliwości tych, z kółka peletonu. Wyprzedził się zaledwie kilka minut przed Nielubina. Na finiszu lotnym w Puławach Nielubina zajął 2 miejsce. Przewaga Moraveca zmalała do 2 sekund. Przed finiszem lotnym w Karłowicach najsztywniej reprezentant CSRS, Dusan Zeman, zderzył się z Nielubinem. Co znaczy najsztywniej? Po etapie lubelskim Zeman był 18 — to znaczy wyprzedził o jedno miejsce Szurkowskiego, najlepszego Polaka.

To trwało słonek sekund. Brali wiraż na mokrym asfalcie. Wory prasowe wyprzedziły kolarzy, żeby podążyć na metę. I nagle zobaczyliśmy, że ktoś leży. Samochód z korespondentem. Słowackiego sportu. Walerym Kudrincem zatrzymał się tak gwałtownie, że nasz, następnym w holmie, omal nie wpaść na niego. Nadziecki dziennikarz wyskoczył i biegł pomóc Nielubinowi, który wstawał z ziemi z grymasem bólu na twarzy, z rozartanymi na biodrze spodniami. Coś krzyknął. Już był przy nim też techniczny, podał mu drugi rower. Wsiadł i poszedł jak sprinter za peletonem. A tam się gotowało. Gonscherek, Oberfranz, Schifzner i Wesemann nadawali tempo, ciągnęli za sobą plecami Kühna, szukającego się do ostatecznego ataku. Bartonieck, Haba i Hradzira ciągnęli za sobą Moraveca. Kolektywnie, przeciwko drużynie ZSRR, drużynie NRD i CSRS. I jednocześnie to dwie ostatnie przeciwko sobie.

W Warszawie Nielubina początkowo nie chciał mówić nic. Dopiero teraz, północy wczoraj, rozważa mu się język. Na stoliku w jego pokoju hotelowym stoją dwa zdjęcia: młodej brunetki i małego dziecka. Zona Olga i syn Dymitr. Codziennie po etapie Władysław wyciąga z walizki te dwie fotografie i wpatruje się w nie. Ostatni raz widział żonę i syna w styczniu. Wyjechał na obóz na południu ZSRR. Mieszka zaś w Leningradzie, do domu było za daleko. Potem były pierwsze zawody, wyjazd za granicę, znowu obóz. I wyścig.

Dima ma teraz rok i cztery miesiące. Gdy wyjeżdżałem, pierwszy raz pojechał do mnie dwa razy „papa, papa”. Wyciągnął rączki, zaciśnął dłoń, nie chciał mnie puścić. Do dziś na pewno zapomniał. Wracam na kilka dni do domu, trzeba go będzie na nowo uczyć mówienia „papa”.

Na stole telegram, nadesłany przez żonę po zwycięstwie etapowym w Pradze i zdobyciu po raz drugi przodownictwa. Gratulowała i apelowała, żeby uważał na siebie. Olga jest instruktorem sportowym, lecz żona myśli także jak żona.

— Jeszcze przed wyjazdem do Berlina napisała mi, że mogę zająć ostatnie miejsce, było coś więcej do domu. I co teraz jej powiem? — pokazuje na pooklepane palustrami biodra i nogi, na których widać ślady siniaków, opuchlizna i skóra zdrętwiała. Jednej nogi nie może zginąć, a tym czasem jutro czeka go trening. Niedziła, 30-40 km spacerkiem, ale jednak.

— Trening na drugi dzień po takim wyścigu? — Dzwonek? Przecież sezon walczenia dopiero się zaczyna. Przed nami olimpiada, może mnie zakwalifikują.

Zaczynał od marcia, dochodził do poziomu reprezentacyjnego, gdy złamał nogę. Wycieczysto, starszy brat, trener sportowy, namówił go na zajęcie się kolarstwem. Ojciec, emerytowany lotnik, popierał zainteresowania synów. Sport nie jest dla niego wszystkim, jak np. dla Szajdmana, który choć o 19 lat starszy, ciągle się ściga. Nielubina ma 23 lat i chce pojechać jeszcze ze 2-3. Może 4, do następnej olimpiady; no, może do trzynastki, nie dłużej. Ma dziecko, a potem będzie i drugie, dzieciom potrzeba jest do domu ojciec, a nie wędrujący z obozu na zawodach i odwołanym reprezentant. W każdym razie ma nadzieję, że na Wyścig Pokoju jeszcze przyjedzie. Przytłowie mówił do trzech razy sztuka. W 1969 był 12, w 1971 — 3, 1972 — 2. Spróbuj czwarty raz. Tegoroczny wyścig nie wyzwał tak, jak było można. Dawocza wojskowy Nielubina zwykił mówić: „Jeśli będzie trzeba, radzieckie szczyły porwą niecyfrowe samoloty”. Następnym po lubelskim etapie Władysław postanowił, że choćby miał pojechać, wygra. Był drugi na finiszu lotnym w Puławach; czuł, że będzie też przynajmniej drugi w Karłowicach — i to by już wystarczało. Upadek odebrał mu szanse. Tak przegrał, tak przegrał O 2 sekundy! Żeby przynajmniej w równej walce; miałby żal do siebie, a nie do Zemana.

Czy ma żal do Zemana? Pewnie. Gdy Czech przewracał się, wyciągnął rękę przed siebie, dotknął rowerem Nielubina i już leżał obaj. Penie był to odruch samobrony, choć wsparcia się, jednak zupełnie nieodpowiedzialny. Kolarz tej miary powinien wiedzieć, co jest niebezpieczne, czego nie wolno robić. Żeby Zeman miał spowodować specjalnie krakus, Nielubina raczej nie wstąpił; jechali przecież z taką szybkością, że upadek mógł zakończyć się śmiercią obu, a chyba nikt przy zdrowych zmysłach na imprezie sportowej nie wstąpił w roli kamikadze?

A w ogóle, może należy mieć pretensje do siebie za utratę przodownictwa po raz trzeci? Lub do losu, który wpuścił do ręki i Ortona? Może gdyby jechali do końca tamci dno, gdyby walka o przodunek odbywała się w szarym gronie, byłaby jeszcze cięższa, czyli korzystniejsza dla najdoporniejszego, najrówniejszego, a więc dla Nielubina?

I Rosjanin zcierał mi się, że naprawdę był się tylko jednego przeciwnika: Szurkowskiego. To

pragda, że Polak miał kryzys w drodze do Karłowic Varów. Jednak potem, zwłaszcza na etapie Rzeszów — Lublin, pokazał klasę Moraveca.

Kilka dniowych czuła stała się trzymiesięczną. Cały sobotni wieczór wsiadł do samochodu z Moravcem, całą niedzielę, aż wstał się do domu, prawie o północy, już wrócił do hotelu na spokojną kolację. Zaręczył się betoniaki, jakby postawiony zupełnie nerwowo. Ten Kamil Hatapha, trener drużyny CSRS, mówi, że Vlastimil zupełnie nie po czasie znalazł się w tym szarym gronie. „Jak to będzie”. Może dlatego, że ma ostry finisz, więc liczy, że tak czy inaczej na mecie wypadnie dobrze? Teraz, po wstąpieniu zwycięzcy, smiech nie schodzi z przystojnej twarzy Moraveca.

— Wyścig to nie. Mogłem jechać tak jeszcze 3 i 4 etapy. Za to dzień dzisiejszy dał nam to coś. Wyrzucił w jednej chwili, drugiej, spotkał, wyścigi dla telewizji, radia, wielkich piem sportowych. A tego nie trenujemy. Jak do tego, że jutro rano odlatuje do Pragi. Pewnie jeszcze trzeba będzie przejechać ponownie tam, ale po południu już trening. No i wpadne do rodziców, wieszają się.

Vlastimil jest jedynakiem. Rodzice nigdy nie mieli paży sportowych, teraz też nie, oczywiście poza śledzeniem zawodów, w których startuje syn.

— Fajnie, że wygrał, prawda? Z początku marzyliśmy, żeby drużyna znalazła się w pierwszej trójce. Ja planowałem sobie indywidualnie miejsce na drugiej dziesiątce, a w skrótyści ducha: może nawet w pierwszej. Teraz niewygodne, że zostanie wstawiony do reprezentacji olimpijskiej. Przykro mi, że Zeman zderzył się z Nielubinem. Ale chyba jeszcze nie raz spotkamy się na szosie. Chęć jechać do 30 roku życia. Chyba, żeby żona nie pozwoliła — a ponieważ ożenił się tylko z miłością, węc będą zgodnym mężem.

Ktoś wznosi toast: Na zdrowie!

Reprezentanci Czechostowacji podnoszą w górę szklanki wypełnione sokiem owocowym. Przed nimi nieruszone lampki z winem. Tylko Moravec wycyliła swoją do połowy. Okazuje się wyjątkowo. W palcach obraca kluczyki od „Fiata 1200” — naprawy za zwycięstwo. Po przyjeździe do Pragi wóz zostanie sprzedany, a pieniądze rozdzielone pomiędzy kolegów z drużyny, których pomocy zażyczyła sobie; tego wymaga lojalność.

Nielubina na wiadomość, że Moravec sprzeda swoje trofeum, nie zdziwił się wcale.

— Mnie też nie szło o „Fiata”. Nie dla pieniędzy gnał mnie te 2 sekundy. Chciałem zwyciężyć. To wszystko. A samochód już raz wygrałem. W Jugostawii. Marki „Ford”. I na drugi dzień po przyjeździe do Leningradu rozczuliłem na stajni. Miałem sto kłopotów z reperacją!

## minuta myślenia

## Klakson niebieskiego „Wartburga”

**W**KWIETNIOWYM i majowym numerze „Dialogu” przeczytałem scenariusz filmowy Jerzego Skolimowskiego pt. „Poślizg”. Z dopiskami dowiedziałem się, że scenariusz jest realizowany. I jedno i drugie wzbudziło mój aż „najwyższy”, jak się zwykło w takich

wypadkach mówić, to jednak dość uzasadniony niepokój. Nie z powodów literackich. „Poślizg” ma być dreszczowcem i jako taki spełnia swój warunek znakomicie. Ale choć nie jestem czytelnikiem — pedantem, który sensoryczność utworu przyjemna do wiarygodności użytych w nim realiów, nieustannie nad lekturą słyszę brykanie. To brzęczy budzą. Jak tam wszystko jest pod ręką na użytek autorskiego pomysłu, jakim to zbiegam, okoliczności taka się jednodniowy zyciorys głównego bohatera, co za mikroskopijne ulamki sekund decydują o przebiegu wydarzeń. I jaka przy tym dziewczynka z zapalnikami — psychologia. Przeczytałem Diaczeja Halina, nie będąc przecież ani autorem, ani czytelnikiem „Poślizgu”, odwraca się od Marka Diaczeja Józef jako duch Hopkirk pojawia się przy każdym Marka szalibierstwie? Skąd wiedział na przykład o kanistrze? W dodatku nie wiem jakim go prezentuje sam autor: zbitym z pantajułów swych podejrzeń, czy pewnym swego małżonkiem ze wzgardą traktującym gacha? To zaledwie kilka krzaczków z tej dziesiątli nieprawdopodobieństw, w jaką dałmy się wwieść.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o powieść sensoryczną, o film sensoryczny dziś jako gatunek. Nie

jestem specjalistą przedmiotem, na ten temat uwagi mogę wypowiedzieć jedynie z pozycji laika. Wydaje mi się jednak, że jest to gatunek już historyczny i uprawiać go można jedynie w konwencji czasu minionego, na zasadzie czegoś w rodzaju parodi. Czy pastiszu. Poza tym, co najmniej ważne, w oparciu o realia nie dające się przyłożyć do kraju leżącego nad Wisłą. Tu nie było gangów, mafii, camorr, tu zbrodnie nie układały się w meandry skomplikowanych rebusów, do których rozwiązania niedorzeczna jest fajerka i północy gabinetu z szepczącym rzmowcy o „prawdę dedukcji”. Jakaż to przedziwna powieść sensoryczna bez postaci w rękawiczkach i w gumowym płaszczu, po którym ścieka skraplająca się mgła? „Kryminał” to gatunek bardzo niestowarzyski. Mówiło się, że „Ogniem i mieczem” oraz „Pop” to jak westerny Karola Maya, czy Zane Greya, tyle że z realistami domowego chowu. Co za pomieszanie klimatów!

Nie da pominięcia jest również ten warunek, jaki stawia egzystencjalność. Muszę nie znać dobrze opisywanej topografii, żeby było dla mnie elementem atrakcyjnym tajemniczości. Jeśli jako mieszkaniec Warszawy, a czytelnik „Poślizgu”, mam sobie umiejscowić akcję w obrębie ulic Gór-zew-

skiej, Obózowej, Wolskiej, w łeb bierze jej niesamowitość. Znam te okolice od strony najcodziennejszej i ta znajomość demaskuje każdą próbę osnucia ich mgłą aż tak wyszukanej niesamowitości. Może się tylko obawiać, że chodzi o późny wieczorem, ale to z dreszczem rozszafowania rebusu nie ma nic wspólnego.

Zapewniam na koniec, że nie jest moim najmniejszym zamierzeniem przypisywania jakichkolwiek doręcznych kryteriów utworowi Jerzego Skolimowskiego. Tyle tam napakował milicyjnych rękawiczków, karatek pogotowia, niebieskich „Wartburgów” i war statów samochodowych, że jego dykteryjka o rzeczach wyznaczonych z palca łądzi najszerszą autostradą krytycznego zainteresowania.

Hrało!

Chciałbym tylko przeczytać coś na temat kanonów tej zabawy piórem jaka drła i tu — hic et nunc — może być powieść sensoryczna. Bo że należy się w to bawić, nie ulga wpatliwosci. Jak nie należy upierać wielu rzeczy, które powoływały, a nawet ważnymi wydają się tylko ich autorem.



Rys. L. Szalecki

## Odpowiedzi redakcji

- J. S. w Zabkiewiczach Śląskich. „Rozdykotane tydki! Przebiegły skurczem miesiąc! Rozdykotane spodnie! Nie śięły wszystkich sześciu! Rozdykotane ptaczki! Wchłonyły pojemnością! Rozdykotane usta! Trąciły powinnością! Wcale kształtne kosmary!” Koniec wiersza. Podziwiania dla autora.
- A. B. K. w Kielcach. Opowiadanko grzeszy natwą dydaktyką. Człowiek niszczy przyrodę? No cóż, niszczy. Mądre głowy dumają, jak by pogodzić egzystencję ludzką z egzystencją naturalnego środowiska. I miejmy nadzieję, że coś z tego dumania wyniknie konstruktywne. Tym sposobem chcemy Pana poetyścić w jego niepokoju o stan polskiej fauny i flory. Literacko swego niepokoju nie potrafił Pan jednak zdyskontować w sposób interesujący. Dialog natwry i sztuczny, np. „Czytałeś o tym wypadku? — Jakim? — odfalceci”. Odfalceci! Słowo — sprawa nas nie zainteresowała. Już może bardziej kwestie zabytków, w której to materii radzymy skontaktować się z red. Ireneuszem J. Kamińskim.
- A. N. (nie podane miejsce zamieszkania). „Moja droga, zwichrzona i ślerna! Z każdą nutą jestem na ty! A Mazowsze moje to przystań! Gdzie najdoszłe, dziecięce są sny.” Tego rodzaju wiersze Pan pisze. Przypominają się słowa Juliana Przybosa: „Nie ma nowego wiersza (rytmiki, rymiki, ofoniki itd.), jeśli nie ma w nim wyczuwalnej opo-

- zycji do określonych miar klasycznych.” Z tego stwierdzenia nie wycałował Pan należytych konsekwencji. Porostają jeszcze dalej kwestie. Czy w poezji musi istnieć (istnieć) postępek? Naszym zdaniem — istnieje i tak być powinno. Druga kwestia — świadoma stylizacja neoklasycystyczna, lecz tej u Pana nie dostrzegamy, w każdym razie nie widzimy, jakim celem poetyckim mogłaby ona służyć, jeśli nawet istnieje.
- W. P. w Matylidowie. Proszę Pana, celem poezji nie są i nigdy nie były banalne zachwyty nad miesiącem majem, kwitnącymi kasztanami i tak dalej. Prawda jest, że mamy maj (jak co roku), że kwitną kasztany (jak co roku) i tak dalej. Lecz co z tego? Celem poezji jest natomiast wyrażenie człowieka. Człowiek, którego Pańska poezja wyraża, wydaje nam się nadzwyczaj konwencjonalny, a wyobraźnia jego nadzwyczaj płożona. W sumie — nie może to zainteresować jako tako wyrobionego czytelnika. Jesteśmy przekonani, że odczuwa Pan świat o wiele głębiej, niż to zostało pokazane w wierszach, tylko nie potrafił Pan tego poetycko oddać. Czyli z talentem literackim krucho.
- E. O. w Warszawie. Radziłyśmy dowiedzieć się, jakie są wyroki wydanictwa, w którym złożył Pan swój tomik. Nam ta poezja wydaje się bardzo przeciętna, jakiej teraz wiele. Może przesłał Pan akurat słabsze teksty ze zbioru, a może owa informacja o złożonym tomiku miała nas zdingować do publikacji? O sobie też coś wypadałoby napisać.
- B. S. w Krakowie, Autor (autorka?) m. in. wiersza „Zar młodości”, M. S. — U. w Popielówku — teksty nie zyskały naszej akceptacji.

## Noty i notki

Felietoniści „Literatury” wymyślają coraz bardziej dziwaczne tematy, uważając widocznie, że czytelnikowi wszystko można mówić. I tak np. w nr 16 Janusz Oseka twierdzi — a przynajmniej tak wynika z jego twierdzeń — że będzie żył jeszcze przynajmniej 160 lat, dorabiając się w sumie czterastu apodymów wyższych uczelni, czterastu małżeństw, osiemdziesięciu dziećmi i mieszkaniami na czterechsetnym piętrze. Nie dziwnego, że skończy samobójstwem. Zaraz poniżej Adam Kreczmar dopomina się gromko, aby w Górze Kalwarii otworzyć kasyno gry, argumentując: „Fakt, że mamy wielu nalogowych pijaków, nie przemawia za likwidacją knajp”. Niby słusznie — wobec tego znieśmy ograniczenia w sprzedaży narkotyków, ułatwijmy wszystkim kupowanie broni, a w „Literaturze” drukujmy wiersze i felietony wszystkich, którzy uważają się za literatów.

Jeden z dziennikarzy naszego zespołu 9 kwietnia wygrał w Totka 16,50 zł, ale wygranę w kiosku nie było, wobec czego napisał odwołanie do dyrekcji wojewódzkiej. Po kilku dniach odpowiedziano mu na piśmie, że „takiego kuponu nie stwierdzono”, ale 21 maja wysłano owe 16,50 zł jako „wygraną nie podjętą w terminie”.

Raczej anonimowy, bo podpisujący się kryptonimem (X) autor notatki w „Życiu Warszawy” (nr 136) o nagrodach na wrocławskim Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych może się znać na cybernetyce, ale na teatrze nie, a na ortografii słabo. Pisze bowiem, jakoby Tymoteusz Karpowicz napisał sztukę „Haron od świtu do świtu”. Tymczasem prawdziwy tytuł brzmi „Charon od świtu do świtu”.

POSTE RESTAURANTE

# SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Tęgo jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na seriale dziś moda. Powieść, którą po skróceniu młodzieżowy, wygląda na autentyczny folklor akt twórczy, a tekst krąży w rękach uczniów, głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła — „Smak miłości i łez”. Dopisek — „Autor nieznanymi, życie współczesne”. W czasach, kiedy oficjalna młoda proza plawi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młoda kultura cudownie liryczne i serdeczne wroca uczucia, łagodnego, prostego i nieśmiertelnego, acz nie bez śródprzeciwności losu.

Za sprawą przeszkód natury rodzinnej Nina Grodzka musiała pozostać z tym wspaniałym chłopcem Mariuszem. Wyjechała z rodzinnego miasteczka Miłowa na studia. Latka płyną.

(1)

Nina była już studentką piętego roku medycyny. Datena kłopoty przesyła. Nauka nie spruwała jej trudności. Rodzice kochali swoje jedyne dziecko i byli zadowoleni z Niny. Jednym słowem

— Nina żyła jak w bajce. Tworzył jej trochę spowolniała i Nina stała się jeszcze piękniejsza niż przedtem. Wielu wśród kolegów darzyło ją głębokim uczuciem, ale Nina nie chciała miłości. Kochać potrafiła tylko raz w życiu i tylko Mariusza.

Nadszedł czas praktyki. Nina otrzymała praktykę w szpitalu w jednym z miast powiatowych. Pesnego razu karetka pogotowia przywoziła jakiegoś chorego z wojska.

— Proszę pana, proszę podać nazwisko i imię oraz miejsce zamieszkania — powiedział Nina.

— Sztęć pani, sierżant Sakowski Zbigniew.

— Tak, proszę dalej.

— Urodzony w Miłowie.

Pióro wypadło z rąk Niny, rozbijając afrawent i robiąc doko kłeksów na kartce. Sama Nina zrobiła się biała jak jej fartuch. Każdy chciał znać tego przyczynę, analizując wszystkie po kolei, doszli do wniosku. Widząc jednak, że Nina zachowuje się normalnie, zostawili ją przy chorym szama.

— Przecież to ten sam Zbyszek, o którym opowiadał mi Mariusz — myślała Nina. — Przecież to przyjaciel Mariusza?

— Proszę pana, czy pan jest z Miłowa? — spytała jeszcze.

— Tak, proszę pani, a o co pani chodzi?

— Czy zna pan Grodzkich z Miłowa?

— Oczywiście, pan Grodzka to przyjaciel mojej matki.

— Grodzcy mieli córkę — powiedziała Nina. — Oj, chyba że dwa lata młodszą ode mnie, znaną ja, ona kochała się w niejakim Mariuszu. Czy pan zna osobieście Ninę Grodzką?

— Nie, proszę pani, ale znam Mariusza. Ciężko jest mi, gdyż teraz przebywa Nina? Czy Nina opowiadała pani coś o Mariuszu?

— Tak, cośkolwiek wspominała mi. Och, on ją tak kochał, naprawdę ją kochał! Czy pan wie, co robi w tej chwili Mariusz?

— Teraz nie ma jego temat nie wiem. — Skłamał, bo wiedział, dużo. Nina zadawała również pytania, ale nie się z tego nie dowiedział.

Nagle wzrok Sakowskiego padł na lewą pierś Niny, gdzie znajdowała się kieszonka, na której widniały inicjały NG.

— Czy mogę znać pani imię? — spytał.

— Po co panu wiedzieć?

— Może ja sam spróbuję zgadnąć. NG to może być Natasza, a nazwet Nina... Grodzka. Zdaje się, że to ostatnie jest właściwe.

Czula, że przypłano ją na kłamstwo. — Tak, proszę pana, jestem Nina Grodzka. Proszę niech mi pan potwie uszytko o Mariuszu.

— Nie nie wiem...

W tym momencie wszedł dyrektor szpitala i poprosił Ninę, żeby zaszła do innych chorych. Sakowski poprosił jedną z sióstr o papier i afrawent. Miał do napisania uszny list.

„Drogi Mariuszu! Mam dużo czasu, bo leżę w szpitalu, ponieważ złamałam nogę. Już to tej chwili piszę Ci, że opiekuję się mną studentka medycyny, Nina Grodzka. Osoba ta jest Ci dobrze znana. Wiem, że do tej pory nie zapomniałeś o niej, bo przecież ile razy spojrzysz na siebie, to wiesz, że to dla niej Nina kocha Cię i teraz. Muszę Ci powiedzieć, że bardzo mi się podoba, nie tylko z wrody, ale i z charakteru. Proszę Cię bardzo, przyjdź do mnie kiedyś, bo mam do Ciebie uszną próbę. W liście o tym nie mogę pisać. Kocham z miłością, że Cię wkrótce spotkam. Zbyszek”.

Mineło znowu kilka tygodni. W tym czasie Nina zaprzyjaźniła się z Zbyszkiem. Podobał się jej. Był bardzo miły i zabawny. Potrafił doskonale bawić. Polaczył ich Miłow. Wspominał kochał jego usnę. I tak Sakowski wrócił do zdrowia. Rekonwalescencją doskonale opiekowała się Nina. Wzrostła miłość lekarza — zaprzyjaźnił się z uczennicą. Wskazywać nie mógł się, Zbyszek wujkiem Niny potubił, a z bigłem czasu pokochał. Często oboje kłopotuili do miejscowego przyzwoitego parku.